

Robert Louis Stevenson
Podróże z osłem
przez góry Sewenny



**Podróże z osłem
przez góry Sewenny**

Robert Louis Stevenson

**Podróże z osłem
przez góry Sewenny**

**Przełożyła i opracowała
Joanna Roś**

**Tłumaczenie z:
Travels with a donkey in the Cévennes,
Roberts Brothers, Boston 1879**



Poznań 2025

Projekt okładki:
Joanna Matras

Copyright by:
Robert Louis Stevenson

Copyright tłumaczenia polskiego by:
Joanna Roś

Copyright by:
Wydawnictwo Rys

Podziękowania dla dra Pawła Oziębło
za cenne konsultacje historyczne

Wydanie I

Poznań 2025

ISBN 978-83-68006-79-7

DOI 10.48226/978-83-68006-79-7

Wydanie:



Wydawnictwo Rys
ul. Kolejowa 41
62-070 Dąbrówka
tel. 600 44 55 80
e-mail: tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com
www.wydawnictworys.com

„Jedną chwilką”

Kiedy próbuję wyobrazić sobie jakie obrazy oglądał R. L. Stevenson, gdy kładł głowę na trawie po całodniowym marszu przez dzikie, górskie tereny, widzę niebo gwieździste nade mną. I wracam do przeszłości.

Mam dwanaście lat, są wakacje. Nocą wychodzimy na ganek niewielkiego domku na wsi. Słychać orkiestrę świerszczy i solowe partie żab z pobliskiego stawu. W powietrzu unosi się zapach truskawek. Siadamy w wiklinowych fotelach i zadzieramy głowy. Gwiazd jest tak dużo, że wyglądają jak fluorescencyjny piach na bajkowej plaży z wyraźną białą smugą mlecznej drogi, po której wędrują wymyślane przez babcię na poczekaniu fantastyczne postaci. Przenosimy je do snów, gdy zasypiamy na świeżym powietrzu.

Takie nieba zdarzają się coraz rzadziej. Gaszone skutecznie i pakowane do świata owiniętego folią. Coraz trudniej o ucieczkę. Wioskę z mojego dzieciństwa zastąpiło dziś małe miasteczko. Zamiast świerszczy gra Zenek z sąsiedniego podwórka. Czuć zapach grilla.

Gór opisanych przez Stevensona także już nie ma, a ściślej, stopień dzikości tych terenów znacznie się skurczył. Do takiego stanu rzeczy paradoksalnie przyczynił się także autor niniejszej książki, ponieważ *Podróż z osłem przez góry Sewenny* rozślawiły krainę. Obecnie to popularny kierunek wybierany przez turystów.

Eseje podróżnicze Stevensona, które po 145. latach właśnie ukazują się w języku polskim sta-

nowią jeden z pierwszych i najciekawszych tekstów tułacznych, jeśli można je tak nazwać. Ich siła tkwi w ogromnym, zapładniającym wyobraźnię potencjale inspiracyjnym. Na zakurzonej, pustej drodze pojawiają się włóczęga i towarzysząca mu oślica dźwigająca dziwaczny bagaż w kształcie obszernego śpiwora, wypchany książkami i prowiantem. Błądzą po okolicy, zaczepiając nielicznych mieszkańców i wzbudzając powszechne rozbawienie. (Czy tylko niżej podpisany widzi tutaj obrazek bliski poetyce Cervantesa?). Od modnej obecnie twórczości turystycznej odróżniają *Podróże...* zarówno piękna forma literacka, jak również szczególny rodzaj szaleństwa nie tylko artystycznego: dwudziestoośmioletni mężczyzna po prowizorycznym przygotowaniu wyrusza w samotną (poprawka: z oślicą) pielgrzymkę po krainie słabo znanej, spustoszonej przez wojny, tyleż tajemniczej i pociągającej, co okrytej złą sławą i owianej opowieściami o morderczej bestii. (Bestia z Gévaudan – jej cień pojawia się w tekście od czasu do czasu – rzecz jasna, nikogo już dziś nie przeraża; podzieliła los podobny Draculi, którego figurki, magnesy na lodówkę i breloczki do kluczy można nabyć na wycieczce po Karpatach. To jeszcze jedna dygresja na temat gasnącego światła). Stevenson z imponująco-zabawnym uporem brnie do przodu, zanurzając się w przygodzie i przyrodzie. Nawiguje go intuicja. Noclegi zabukował pod gołym niebem. Błądzi po górach Sewennach i zapisuje swoją opowieść, która wydaje się lekka, lecz czytamy w niej jakiś komunikat ukryty.

Jedną z odpowiedzi może być pozaartystyczny impuls, który popchnął autora ku nietuzinkowej wyprawie: echo utraty ukochanej kobiety i pró-

ba poradzenia sobie z dotkliwą pustką powstała w wyniku rozłąki. Fanny wyjechała na drugi koniec świata; wystarczyło, że spuściła go na chwilę z oka, a już w głowie Stevensona pojawiły się niedorzeczne pomysły. Wyruszył, aby wypełnić tę pustkę spotkaniem z nieokiełznanym żywiołem natury? Chciał uciec od codzienności i w samotności słuchać własnego głosu? A może rozpaczliwie szukał kontaktu z drugim człowiekiem, pukając do drzwi nielicznych chat i pytając o drogę? Zapewne wszystkiego po trochu.

„Mamy ledwie chwilę, aby spojrzeć na gwiazdy”, zapisuje w pewnym momencie i już potrafię sobie wyobrazić jakie obrazy oglądał R. L. Stevenson, gdy kładł głowę na trawie po całodniowym marszu przez dzikie, górskie tereny. Jest kilka takich momentów w tej niewielkiej książeczce, które pozwalają czytelnikowi zamarzyć o *ucieczce*. I które pozwalają zaryzykować konkluzję, że *Podróże z osłem przez góry Sewenny* mają wartość terapeutyczną nie tylko dla piszącego. Bo to rzadki przykład imponującej niezależności artystycznej, która dla poszukującego i nieco poszukiwaniem już zmęczonego czytelnika jest okazją do odetchnięcia i ucieczki choćby na jedną chwilkę od dzisiejszej literatury, która zbyt często przemawia zamiast opowiadać.

Marcin Karnowski

Spis treści

Velay	13
I. Osioł, bagaż i siodło na osła	15
II. Zielony jeździec na ośle	23
III. Oścień	33
 Wysokie Gévaudan	41
I. Obóz w ciemności	43
II. Cheylard i Luc	55
 U Matki Boskiej Śnieżnej	61
I. Ojciec Apollinaris	63
II. Mnisi	69
III. Lokatorzy	79
 Wysokie Gévaudan (ciąg dalszy)	87
I. Przez Goulet	89
II. Noc wśród sosen	93
 Kraj Kamizardów	99
I. Wzdłuż Lozère	101
II. Pont de Montvert	108
III. W Dolinie Tarn	117
IV. Florac	129
V. W Dolinie Mimente	133
VI. Serce krainy	138
VII. Ostatni dzień	148
VIII. Żegnaj, Modestyno!	155

Mój Drogi Sidneyu Colvinie¹

Podróż, którą opisuje ta krótka książeczka, upłynęła mi bardzo przyjemnie i pomyślnie. Po trudnych początkach aż do końca nie opuszczało mnie szczęście. Oczywiście wszyscy podróżujemy po tym, co John Buyan nazywa pustynią tego świata² i każdy z nas ma własnego osła, a najlepszym, co może nam się przytrafić podczas wędrówki, jest lojalny przyjaciel. Ten, kto znajduje ich wielu, jest szczęśliwym wędrowcem. W rzeczywistości podróżujemy właśnie po to, aby ich spotkać. Są celem i nagrodą naszego życia. Utrzymują nas godnymi samych siebie, a kiedy zostajemy sami, jedynie zbliżamy się do nieobecnych.

Każda książka jest, w sensie intymnym, obiegowym listem do przyjaciół autora. Tylko oni rozumieją jej właściwe znaczenie; znajdują prywatne wiadomości, potwierdzenia uczuć i wyrazy podziękowań, przemycane dla nich na rogach stron. Czytelnicy, hojni patroni, pokrywają jedynie koszty opłaty pocztowej. I chociaż list wysyłamy do wszystkich, mamy odwieczny, niezwykły zwyczaj adresowania go w środku do wyłącznie jednego odbiorcy. Z czego powinien być dumny człowiek, jeśli

¹ Sidney Colvin (18 czerwca 1845-11 maja 1927), brytyjski krytyk literacki i artystyczny; dziś pamiętany przede wszystkim ze swojej przyjaźni z Robertem LouiSEM Stevensonem.

² Pierwsze zdanie z poematu *Wędrówka Pielgrzyna* (1678) autorstwa purytańskiego pisarza Johna Bunyana (1628-1688): „Przechodząc przez pustynię tego świata trafiłem do pewnego miejsca, gdzie znajdowała się pieczara”. Tłum. własne.

nie ze swoich przyjaciół? Zatem, mój drogi Sidneyu
Colvinie, z dumą adresuję ten list do Ciebie,

R. L. S.

Velay

Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga
Dziwy człowieka potęga
(...)

Lotny ród ptaków i stepu zwierzęta,
I dzieci fali usidla on w pęta,
Wszystko rozumem zwycięży.
*Antygona*¹

Któż puści wolno osła leśnego,
a kto rozpętał osła dzikiego?
*Hiob*²

¹ *Antygona* Sofoklesa. Tłum. Kazimierz Morawski.

² Księga Hioba 39:8. Biblia Brzeska.

I. Osioł, bagaż i siodło na osła

W małej miejscowości Le Monastier³, w urokliwej górskiej dolinie oddalonej o piętnaście mil od Le Puy, spędziłem około trzydziestu pięknych dni. Le Monastier słynie z koronczarek, pijaństwa, wolności słowa i niebywałych waśni politycznych. W niewielkim miasteczku żyją obok siebie zwolennicy czterech partii francuskich – legitymiści⁴, orleaniści⁵, imperialiści⁶ i republikanie⁷ – i wszyscy, absolutnie wszyscy, nienawidzą i potępiają się wzajemnie. Z wyjątkiem sytuacji biznesowych oraz tawernianych walk na pięści, porzucili nawet cywilizowany język. Istna Polska we francuskim wydaniu. W samym środku tego Babilonu stałem się jednoczącym celem: każdy chciał okazać nieznanomemu zainteresowanie. Nie chodziło jedynie o gościnność właściwą ludziom gór ani o zdziwienie, z jakim traktowano człowieka przebywającego w Le Monastier z własnej, nieprzymuszonej woli, podczas gdy równie dobrze mógłby rezydować gdzie-

³ W tłumaczeniu zachowano pisownię nazw miejscowości za Stevensonem.

⁴ Legitymiści – zwolennicy starszej linii Burbonów wywodzącej się od Ludwika XIV, żądali przywrócenia starszej gałęzi dynastii Burbonów na królów Francji.

⁵ Orleaniści – także monarchiści, byli zwolennikami młodszej linii Burbonów, wywodzącej się od młodszego brata Ludwika XIV, Filipa I, księcia Orleanu.

⁶ Imperialiści – chcieli powrotu do czasów świetności Napoleona, zwolennicy Napoleona Eugeniusza Bonapartego.

⁷ Republikanie – przeciwnicy monarchii i cesarstwa: zwolennicy republiki powstałej po wojnie francusko-pruskiej i ideałów rewolucji francuskiej.

kolwiek indziej na całym świecie. Życzliwość, jaką mi okazywano, wiązała się z planowaną przeze mnie wycieczką na południe przez góry Sewenny. W tych stronach podróżnik mojego pokroju stanowił dotychczas niespotykane zjawisko. Patrzone na mnie z politowaniem, jakbym wybierał się na księżyc, a zarazem z pełną szacunku ciekawością, jak na kogoś, kto wyzwał na pojedynek wojowniczego Polaka. Wszyscy rwali się do pomocy; tłum sympatyków wspierał mnie w kluczowych momentach przygotowań, a każdy krok, zbliżający mnie do wyprawy, oblewano i celebrowano wieczorną biesiadą lub zwyczajnym śniadaniem.

Dopiero w październiku poczułem się gotowy do rozpoczęcia wędrówki i na dużych wysokościach, gdzie miał znajdować się mój szlak, próżno już było szukać śladów babiego lata. Założyłem, że nawet jeśli uniknę biwakowania, powinienem zabrać właściwy ekwipunek, gdyż nic tak nie męczy swobodnego ducha jak konieczność dotarcia na nocleg przed zmrokiem, a ci, którzy podróżują pieszo, nie zawsze mogą liczyć na gościnność wiejskiej gospody. Z punktu widzenia samotnego nomady rozbijanie i ponownie składanie namiotu bywa problematyczne, poza tym w drodze namiot stanowi rzucający się w oczy element bagażu. Natomiast śpiwór jest zawsze gotowy – wystarczy po niego sięgnąć; do tego spełnia podwójny cel – w nocy zamienia się w łóżko, a za dnia w walizkę, *portmanteau* i nie obwieszcza zamiaru biwakowania wścibskim przechodniom. To jego ogromna zaleta. Jeśli odpowiednio nie ukryjesz obozowiska, szybko zamieni się w nieprzyjemne miejsce czuwania, a ty sam staniesz się postacią publiczną. Towarzyski wieśniak odwiedzi

cię w barłogu po wczesnej kolacji, zaśniesz z jednym okiem otwartym i staniesz na nogi jeszcze przed świtem. Właśnie dlatego zdecydowałem się na śpiwór i po licznych wizytach w Le Puy oraz wielu ucztach moich i moich doradców zaprojektowano, uszyto i triumfalnie oddano go w moje ręce.

Dzieło mojej wyobraźni miało prawie sześć stóp kwadratowych, nie licząc dwóch trójkątnych zakładek, które w nocy służyły za poduszkę, a w dzień jako wierzch i spód worka. Nazywam swój śpiwór „workiem”, ale to oczywiście spora nadinterpretacja: wynalazek przypominał raczej długą bagietkę lub roladę z zielonej, nieprzemakalnej tkaniny od zewnątrz i z niebieskiego, owczego futra w środku. Był pojemną walizką oraz ciepłym i suchym łóżkiem. Stanowił obszerny, jednoosobowy apartament i w razie potrzeby mógł służyć dwóm lokatorom. Mogłem się w nim zakopać po szyję. A co się tyczy nakrycia głowy, zaufałem futrzanej czapce z kapturem i opaską przechodzącą pod nosem jak w masce ochronnej, zaś na wypadek ulewy zaplanowałem rozbijanie małej płachty albo budowanie kabiny składającej się z wodoodpornej kurtki, trzech kamieni i zgiętej gałęzi. Łatwo sobie wyobrazić, że nie uniósłbym równie wielkiego ekwipażu na własnych, wątłych ramionach. Potrzebowałem zwierzęcia. Cóż, koń to wyrafinowana, lekkomyślna i nieśmiała istota o delikatnym zdrowiu, niezwykle wrażliwa, jeśli chodzi o preferencje pokarmowe; jest zbyt cenny i niespokojny, by go zostawić samego, więc podróżując konno czujesz się przykuty do swojego zwierzęcia jak do niewolnika na galerze; niebezpieczna droga wytrąca go z równowagi – krótko mówiąc, niepewny i wymagający z niego towarzyszy,

zwiększający kłopoty wojażera o trzydzieści razy. Potrzebowałem czegoś tańszego, mniejszego i wytrzymalego, o stałym, przewidywalnym usposobieniu, a wszystkie te cechy wskazywały na osła.

W Le Monastier mieszkał pewien starzec, którego słuchali się uliczni chłopcy, zdaniem tubylców raczej niezdrowy na umyśle. Mówiono na niego Ojciec Adam. Miał wózek, a do ciągnięcia wózka drobną oślicę w kolorze myszy, niewiele większą od psa, o życzliwym spojrzeniu i mocnej żuchwie. Tkwiło w tej łobuzicy coś schludnego i szlachetnego, jakaś kwakerska elegancja, która natychmiast wpadła mi w oko. Nasze pierwsze spotkanie odbyło się na rynku. Aby udowodnić właściwy temperament oślicy, dzieci siadały jej na grzbiecie i przymierzały się do jazdy, po czym jedno po drugim wylatywało z kwikiem w powietrze; w końcu młode dusze ogarnęło zwątpienie i eksperyment przerwano z powodu braku ochotników. Moją ofertę poparła cała delegacja kamratów, wszyscy handlarze i klienci zebrani tego dnia na rynku zbiegli się, żeby pomóc mi w targowaniu. Oślica, ja i Ojciec Adam przez prawie pół godziny znajdowaliśmy się w centrum wydarzeń. W końcu ośliczka przeszła na moją służbę za sześćdziesiąt pięć franków i kieliszek brandy, podczas gdy śpiwór kosztował osiemdziesiąt franków i dwie szklanki piwa. Zatem Modestyna, jak ją natychmiast nazwałem, okazała się być moim najtańszym artykułem turystycznym.

Nic w tym dziwnego; w końcu była jedynie dodatkiem do materaca, samodzielnie poruszającą się ramą łóżka na czterech kopytach.

Ostatni raz rozmawiałem z Ojcem Adamem, gdy o świcie w sali bilardowej rozlewałem brandy. Wy-

znał, że bardzo poruszyła go rozłąka z Modestyną. Ponoć często kupował jej biały chleb, podczas gdy sam zadowalał się czarnym, co, według miejscowych autorytetów, zakrawało o czystą fantazję. We wsi wyrobił sobie reputację brutalnego dręczyciela osła, chociaż nie kłamię, że uрониł jedną łzę, która zostawiła ślad na jego policzku.

Za radą, jak się później okazało, omylnego siodlarza zrobiono dla mnie skórzany pad z pierścieniami do przymocowania bagażu; starannie skompletowałem swój ekwipunek i toaletkę. Jeśli chodzi o uzbrojenie i przybory, wziąłem rewolwer, małą lampkę spirytusową, rondel, latarnię, kilka świec za pół pensa, scyzoryk i dużą skórzaną manierkę. Mój główny bagaż składał się z dwóch zestawów ciepłej odzieży – nie licząc podróżnego stroju z wiejskiego aksamitu, marynarskiego płaszcza, dzianinowej kamizelki, kilku książek oraz pledu kolejowego, także uszytego w kształcie worka, dzięki czemu razem ze śpiworem tworzył podwójną twierdzę na zimne noce. W skład przenośnej spiżarni weszły ciasta czekoladowe oraz puszki z kielbasą bolońską. Wszystko to, z wyjątkiem drobiazgów, które nosiłem w kieszeniach, z łatwością mieściło się do śpiwora; na szczęście do środka wrzuciłem też pusty plecak, raczej z racji na wygodę niż z obawy, że mógłby mi się jeszcze przydać. Pod ręką trzymałem udziec barani, butelkę Beaujolais, pustą flaszkę na mleko, trzepaczkę do jajek oraz, jak Ojciec Adam, znaczną ilość czarnego i białego chleba dla siebie i osła, tyle że w moim schemacie rzeczy ich przeznaczenie było odwrotne, niż w opowieści starca.

Monastierczycy, bez względu na przekonania polityczne, zgodnie grozili mi wieloma absurdalnymi

mi nieszczęściami i nagłą śmiercią w przeróżnych, zaskakujących formach. Codziennie i bezwzględnie polecano mojej uwadze: zimno, wilki, złodziei, a w szczególności nocnych żartownisiów. Ciekawe, że wśród licznych prorocत्व pominięto prawdziwe, realne niebezpieczeństwo. Jak przystało na chrześcijanina, największe cierpienie sprawiał mi mój bagaż. Zanim opowiem o swoich nieszczęściach, pozwólcie, że w dwóch słowach streszczę lekcję z tych doświadczeń: Jeśli sprawnie zawiążemy bagaż i przymocujemy go na całej długości, zamiast składać na pół, zapewnimy sobie bezpieczeństwo. Siodło z pewnością nie będzie pasować, taki już urok naszego marnego żywota, bez wątpienia straci stabilność i zacznie opadać, ale szybko opanujecie sztukę korygowania zachwianej równowagi za pomocą dobrze umocowanego kamienia zgarniętego z pobocza drogi.

W dniu wyjazdu wstałem odrobinę po piątej, o szóstej zaczęliśmy przygotowywać oślicę, a dziesięć minut później moje nadzieje zostały rozwiane. Pad nie trzymał się grzbietu Modestyny nawet przez pół minuty. Zwróciłem go rzemieślnikowi, z którym wdałem się w tak obraźliwą wymianę zdań, że cała ulica, od ściany do ściany, wypełniła się słuchaczami. Pad dynamicznie przechodził z rąk do rąk, a właściwie należałoby powiedzieć, że rzucaliśmy nim sobie po głowach; w każdym razie byliśmy nader zawzięci i nieprzyjaźni, i rozmawialiśmy z dużą dozą wolności słowa.

Założyłem na Modestynę standardowe, długie siodło juczne, tak zwaną *bardę* i po raz kolejny załadowałem na nią ruchomości. Podwójny worek, kurtkę marynarską (bo było ciepło i miałem chodzić

w kamizelce), wielki bochen czarnego chleba oraz otwarty kosz z białym chlebem, baraniną i butelkami połączyłem rozbudowanym systemem węzłów i patrzyłem na wynik z głupkowatym zadowoleniem. W tak wybuchowym ładunku pokładowym, który falował bez oparcia na grzbiecie osła i został przymocowany do nowego, wciąż ledwo dopasowanego siodła, a do tego spięty płataniną pasów, która z dużym prawdopodobieństwem mogła się poluzować, nawet nieostrożny obieżyswiat zobaczyłby zbliżającą się katastrofę. Skomplikowaną sieć supłów wiązało zbyt wielu sympatyków wyprawy, by mogła okazać się niezawodna. To prawda, że fachowcy z impetem zaciągali sznurki; aż trzech naraz dociskało stopy do Modestyny i szarpało z zaciśniętymi zębami. Dopiero później miałem się przekonać, że jedna rozważna osoba, bez wielkiego wysiłku, potrafi wykonać solidniejszą pracę niż pół tuzina narwanych i rozgorączkowanych stajennych. Cóż, wtedy byłem jeszcze nowicjuszem; nawet kłopoty z padem nie naruszyły mojego poczucia bezpieczeństwa i nieświadomie wynurzyłem się zza wrót stajni jako wół, którego wiodą ku zabiciu⁸.

⁸ „Idzie wnet za nią jako wół, którego wiodą ku zabiciu i jako szalony spętany ku skaraniu”. Księga Przypowieści Salomona 7:22. Biblia Brzeska.

II. Zielony jeździec na ośle

Dzwon w Le Monastier wybił właśnie dziewiątą, kiedy odpędziłem od siebie wspomnienie pierwszych trudności i schodziłem ze wzgórza przez pastwiska. Tak długo jak byłem widoczny z okien domów, tajemniczy wstyd i strach przed jakąś śmieszną klęską powstrzymywały mnie od majstrowania przy Modestynie. Z rezerwowym taktem potykała się o swoje cztery małe kopyta, od czasu do czasu potrząsając uszami lub ogonem i prawie niknęła pod górą tobołów, co napełniało mnie złymi przeczuciami. Bez trudu przeprawiliśmy się brodem – nie wątpiłem, że moja oślica ucieleśniała posłuszeństwo – ale kiedy dotarliśmy na drugi brzeg, gdzie droga zaczyna bieg przez sosnowe lasy, wziąłem w prawą rękę niego-dziwy kijek i, cały się trzęsąc, przyłożyłem jej. Przyspieszyła tempo może na trzy kroki, a potem wróciła do właściwego sobie menueta⁹. Kolejne smagnięcie kijem przyniosło ten sam efekt, podobnie trzecie. Zasługuję przecież na miano Anglika, więc jest to sprzeczne z moim sumieniem, abym miał podnosić rękę na kobietę. Obejrzałem ją od stóp do głów: kolana biednej oślicy drżały, a jej oddech był umęczony; oczywiście, że nie mogła poruszać się szybciej. Broń mnie, Panie Boże, przed besztaniem tego niewinnego stworzenia, pomyślałem; pozwól jej iść własnym tempem, a mnie cierpliwie za nią podążać.

Nie istnieje słowo, które we właściwy sposób opisałoby obraną przez nas prędkość: było to coś o wiele

⁹ Menuet – francuski taniec ludowy, który stał się z czasem tańcem dworskim, w metrum 3/4 i tempie umiarkowanym.

wolniejszego niż spacer. Przy każdym kroku zamierałem na wieczność; po pięciu minutach wyczerpałem całą swoją siłę i dostałem gorączki w mięśniach nóg. Musiałem trzymać się blisko Modestyny i dopasować do niej swoje tempo, bo gdy tylko zostawałem kilka jardów w tyle lub wyprzedzałem ją o parę kroków, natychmiast się zatrzymywała i zaczynała skubać trawę. Myśl, że ta udręka potrwa aż do Alais prawie złamała mi serce. Zapowiadała się najbardziej uciążliwa łazęga, jaką można sobie wyobrazić. Usiłowałem sobie wmówić, że mieliśmy ładny dzień, próbowałem przekupić złe samopoczucie tytoniem, ale nie opuszczała mnie wizja dróg ciągnących się nieskończenie w górę i w dół doliny oraz dwóch postaci niemalże zastygłych w ruchu, przekładających nogę za nogą w tempie jarda na minutę, złapanych w koszmarze wiecznie odległego celu.

Tymczasem dogonił nas wysoki wieśniak, może czterdziestoletni, o rysach twarzy wykrzywionych w ironii, ubrany w zielony, ludowy frak. Wyprzedził nas zamaszystym krokiem, po czym zatrzymał się, żeby ocenić nasze żalosne tempo.

„Twój osioł jest bardzo stary?” – zapytał.

Odpowiedziałem, że nic podobnego.

Zatem, wywnioskował, musieliśmy już od dawna podróżować.

Odpowiedziałem, że ledwie opuściliśmy Le Monastier.

„Et vous marchez comme ça?!¹⁰ – zawołał i odrzucając głowę do tyłu, długo i serdecznie zanosił się śmiechem. Patrzyłem na niego, po trosze przygotowany na złośliwości, aż w końcu zaspokoił swoją wesołość.

¹⁰ Z franc. „I idziecie takim tempem?!”

„Eee, takie cackanie z gadziną” – skomentował i wyrwawszy gałąź z zarośli, zaczął okładać Modestynę po zadzie, wydając przy tym specyficzny okrzyk. Oślica nadstawiła uszu i ruszyła żywym, miarowym krokiem, który trzymała bez ustanku, nie okazując najmniejszego znaku bóleści, dopóki mieliśmy towarzystwo. Z przykrością stwierdzam, że jej wcześniejsze dyszenie i dygot były jedynie komediową sztuczką.

Zanim mój *deus ex machina* poszedł w swoją stronę, udzielił mi przydatnej, choć okrutnej lekcji; wręczył mi witkę, którą, jak obiecywał, oślica miała poczuć dotkliwiej niż kijek i nauczył mnie prawdziwego okrzyku czy raczej masońskiego hasła poganaczy osłów: „Prrrut!”¹¹. Przez cały czas gapił się na mnie z wyjątkowo krępującym, komicznym grymasem, pełnym zdziwienia; myśląc o mojej jeździe na oślicy zaśmiewał się tak, jak ja mógłbym szydzić z jego ortografii lub zielonego fraka. Ale jeszcze nie przyszła pora odwetu.

Byłem dumny z nowo nabytej wiedzy i pewny, że opanowałem sztukę prutowania do perfekcji. Bez wątpienia przez resztę przedpołudnia Modestyna czyniła cuda, a ja w końcu zyskałem chwilę, żeby rozejrzeć się dookoła. Była niedziela; górskie pola stały puste w słońcu; schodząc przez Saint Martin de Fugères, minęliśmy wypełniony po brzegi kościół; wierni klęczeli na schodach na zewnątrz, a z mrocznego wnętrza dobiegał śpiew kapłana. Natychmiast poczułem się jak w domu, ponieważ, jeśli można tak

¹¹ „Proot!”: zdaniem Christophera MacLachlana, znawcy literatury szkockiej, „proot” to zanglicyzowana pisownia słowa „proute”, imperatywu liczby pojedynczej francuskiego czasownika „prouter”, czyli „pierdnąć”.

powiedzieć, jestem pobratymcem niedzieli i wszelkie obrzędy z nią związane, podobnie jak akcent szkocki, budzą we mnie mieszane uczucie wdzięczności i odrazy. Tylko podróżny, przechodząc obok niczym istota z innej planety, potrafi we właściwy sposób cieszyć się spokojem i estetyką tej doniosłej, ascetycznej uczty. Widok odpoczywającej wsi pomyślnie wpływa na jego duszę. W niezwyklej, rozległej, niedzielnej ciszy tkwi coś lepszego nawet od muzyki, coś, co wywołuje w nim przyjazne myśli, jak szum strumyka lub ciepło słońca.

W tym przyjemnym humorze schodziłem ze wzgórza do miejsca, gdzie na zielonym krańcu doliny rozciąga się Goudet, naprzeciwnie, na skalistym, stromym zboczu, leży Château Beaufort, a w głębokiej sadzawce między nimi płynie krystalicznie czysty potok. Słyszałem skradającą się pod kamieniami malutką rzeczkę, której nazywanie Loarą brzmi nieco absurdalnie. Goudet ze czterech stron otaczają góry; kamieniste ścieżki, w najlepszym razie przydatne dla osłów, łączą osadę z wielką Francją; mężczyźni i kobiety piją i przeklinają w swoim malachitowym zakątku lub z progu domów spoglądają na zimowe wierchy pokryte śniegiem, odosobnieni jak cyklopy Homera. Chociaż nie, to niezupełnie prawda: do Goudet dociera listonosz z torbą pełną listów; młodzi marzący o innym życiu w jeden dzień pokonują pieszo drogę do linii kolejowej w Le Puy, zaś w karczmie można obejrzeć rycinę przedstawiającą portret Régisa Senaca, siostrzeńca gospodarza, „nauczyciela szermierki i mistrza obu Ameryk” (tytuł oraz nagrodę w wysokości pięciuset dolarów zdobył w Tammany Hall w Nowym Jorku, 10 kwietnia 1876 roku).

Nie zwlekałem z południowym posiłkiem i bez ociągania kontynuowaliśmy wspinaczkę. Niestety, kiedy podchodziliśmy na niekończące się wzniesienie po drugiej stronie, „prrut” nieoczekiwanie stracił siłę oddziaływania. Ryczałem „prrut” jak lew, ryczałem słodziusieńko jak ssący gołębek¹², ale Modestyna nie dała się ani przebłagać, ani zastraszyć. Zawzięcie kroczyła tempem obranym na początku podróży; nie wruszało jej nic poza uderzeniem witki, chociaż nawet ono skutkowało najwyżej na sekundę. Musiałem niemal deptać jej po kopytach, nieustannie wymachując różgą. Wystarczyło, że na moment przerywałem to haniebne okrucieństwo i już wracała do swojego ulubionego kroku. Nigdy nie słyszałem o wędrowcu znajdującym się w równie beznadziejnym położeniu. Chciałem dotrzeć do jeziora Bouchet, gdzie przed zachodem słońca zamierzałem rozbić obóz, więc aby zachować choćby cień szansy na taki rozwój wydarzeń, musiałem nieustannie znęcać się nad zrezygnowaną oślicą. Odgłos własnych ciosów przyprawiał mnie o mdłości. Raz, gdy na nią spojrzałem, wydała mi się odrobina podobna do znajomej damy, która niegdyś obdarzyła mnie dobrocią, co jedynie zwiększyło moje przerażenie z powodu zadawanego bólu.

Na domiar złego trafiliśmy na innego osła, skaczącego frywolnie na skraju drogi, który okazał się być kawalerem. Zapoznali się z Modestyną, prychając przy tym z ekscytacji, a mnie pozostało rozdzielić zakochaną parę i zniszczyć świeży romans powtórny i nerwowym *bastinado*. Gdyby spo-

¹² „Ale ja tak głos nastroje, że będę wam ryczał słodziusieńko jak ssący gołębek”. *Sen nocy letniej* Williama Shakespear’a. Tłum. Leon Ulrich.

tkany zalotnik posiadał serce mężczyzny, ruszyłby na mnie z zębami i kopytami, ale na całe szczęście łatwo zrezygnował z walki. Było to dla mnie swego rodzaju pociechą – okazał się zwyczajnie niegodny uczucia Modestyny. Co nie zmienia faktu, że ten incydent głęboko mnie zasmucił, podobnie jak wszystko, co dotyczyło płci mojej oślicy.

W górze doliny słońce paliło gniewnie, nie docierał do mnie nawet najmniejszy podmuch wiatru, żar nieba opadał mi z ciężarem na ramiona, a ponieważ zapalczywie machałem kijem, gorący pot zaczął zalewać moje oczy. Co pięć minut bagaż, koszyk i kurtka marynarska przewracały się zdradliwie na jedną lub drugą stronę i musiałem zatrzymywać towarzyszkę (kiedy właśnie doprowadziłem ją do znośnego tempa około dwóch mil na godzinę), aby podciągnąć, docisnąć i ponownie ustawić swój dobytek. W końcu, gdy dobrnęliśmy do wioski Ussel, siodło obróciło się i razem z całym instrumentarium runęło w pył poniżej brzucha oślicy. Modestyna, najwyraźniej ucieszona z takiego obrotu sprawy, chciała niezwłocznie ruszać dalej i odniosłem wrażenie, że podśmiewała się ze mnie. Mężczyzna, dwie kobiety i dwoje dzieci, którzy stanęli wokół nas w półkole, zachęcali ją do śmiechu swoim przykładem.

Sam diabeł nie umiałby wybrnąć z podobnej sytuacji; w chwili, gdy przeszedłem już samego siebie i cudem umocowałem graty, te subtelnie przewróciły się i opadły na drugą stronę boku Modestyny. Jakże było mi gorąco! Nie oznacza to wcale, że znaleźli się chętni do pomocy. Mężczyzna oznajmił tylko, że mój bagaż powinien mieć inny kształt. Zasugerowałem, że jeśli to najlepsza rada, na jaką go stać, niech

lepiej trzyma język za zębami. Jego dobroduszny pies zgodził się ze mną z uśmiechem. Czekwały mnie nieubłagane zmiany. Musiałem przystać na poniższe ulepszenia: Modestyna miała odtąd nieść na grzbiecie jedynie worek, a ja postanowiłem wziąć na siebie: chabinkę, manierkę, marynarski płaszcz z dużym obciążeniem w kieszeniach, dwa funty czarnego chleba i otwarty kosz pełen mięsa i butelek. Chyba mogę śmiało powiedzieć, że jestem wielkodusznym człowiekiem, gdyż nie ugiąłem się przed tym kompromitującym ciężarem. Wkrótce pozbyłem się jego części (Bóg jeden wie, w jaki sposób), żeby odzyskać względną swobodę ruchów, a następnie poprowadziłem Modestynę przez wieś. Próbowala, zgodnie ze swoim zwyczajem, wleźć do każdej chaty i przemierzyć każde podwórze. Żadne słowa nie oddadzą koszmaru, jakiego doświadczałem – obładowany kłopotami, bez ani jednej wolnej ręki. Kapłan w towarzystwie sześciu lub siedmiu wiernych doglądał kościoła w trakcie remontu i razem ze swoimi akolitami szydził głośno z mojej golgoty.

Przypomniałem sobie własne rozbawienie na widok pocziwców walczących z wrogiem w osłej skórze i to wspomnienie nappełniło mnie skrucą. Wtedy nic nie wskazywało, że wpadnę w identyczne tarapaty. Boże, przyrzekam, że nigdy więcej nie zaśmieję się na taki widok, obiecałem pokornie. Och, jak okrutna jest farsa dla aktorów, którzy w niej grają!

Niedaleko za krańcem wioski w Modestynę wstąpił demon i kazał jej za nic w świecie nie opuszczać bocznej ścieżki. Upuściłem swoje toboły i, wstyd się przyznać, dwukrotnie trzepnąłem opętaną po pysku. Pełen żalu patrzyłem, jak z zamkniętymi

oczami podnosi głowę, jakby czekała na kolejny cios. Prawie się rozplakałem. Zrobiłem jednak mądrzejszą rzecz i usiadłem tuż przy drodze, aby rozważyć swoją sytuację pod rozweselającym wpływem tytoniu i brandy. Tymczasem Modestyna z obłudnie skruszoną miną zjadała czarne pieczywo. Nie miałem wyjścia, musiałem złożyć ofiarę bogom rozbitków. Wyrzuciłem pustą flaszkę na mleko i pozbyłem się białego chleba, ale nie chcąc działać zgodnie z prawem dzielenia strat, zachowałem czarny chleb dla towarzyszki; na końcu wywaliłem zimny udziec barani i trzepaczkę do jajek, chociaż czułem się do niej przywiązany. Teraz wszystko mieściło się w koszyku i nawet przerzuciłem przez niego płaszcz marynarski. Założyłem kosz na sznurek i przewiesiłem go sobie przez ramię; i chociaż sznurek wznął mi się w bark, a mój płaszcz zwisał prawie do ziemi, ruszyłem przed siebie z lżejszym sercem.

Odzyskałem wolną rękę, żeby poganiać Modestynę. Jeśli zamierzałem dotrzeć nad brzeg jeziora z ostatnimi promieniami słońca, oślica musiała ruszyć z miejsca swoje małe cholewki. Słoneczna tarcza osuwała się w porywistą mgłę i chociaż w oddali na wschodzie, na wzgórzach i w czarnych jodłowych lasach wciąż lśniło kilka smug złota, luna wokół naszej dalszej trasy ochłodziła się i poszarzała. Między polami biegła niezliczona ilość wiejskich ścieżek. Ten labirynt wydał mi się zupełnie absurdalny. Wysoko nad głową widziałem swój cel, a raczej szczyt, który się nad nim unosił, ale jakiegokolwiek drogi bym nie wybrał, zawsze zakradała się zwodniczo z powrotem w kierunku doliny lub na północ wzdłuż krawędzi wzgórz. Słabnące

światło, rozproszone barwy, nagi, odstraszący, skalisty teren wprawiły mnie w przygnębienie. Nie żartuję, kijek nie tkwił bezczynnie w mojej dłoni. Jeden większy krok Modestyny kosztował mnie co najmniej dwa zdecydowane uderzenia. W powietrzu unosił się jedynie dźwięk mozolnej chłosty.

Nagle, jakbym nie miał już dość tej tragedii, bagaż ponownie wyładował w piachu: pod wpływem jakichś nieczystych sił wszystkie linki puściły w tym samym momencie i mój cenny dobytek rozsypał się po drodze. Znów zacząłem się pakować, a ponieważ musiałem opracować nowy i lepszy system wiązania, bez wątpienia straciłem przynajmniej pół godziny. Gdy w końcu wkroczyłem na dziką ziemię darni i kamieni, zapadał już zmierzch. Otaczająca mnie przestrzeń sprawiała wrażenie korytarza rozchodzącego się w najróżniejszych kierunkach. Byłem już bliski rozpacz, kiedy zobaczyłem dwie postaci zbliżające się do mnie po kamieniach. Posuwały się jedna za drugą jak włóczędzy, a ich tempo było spektakularne. Przodem szedł syn: wyrośnięty, źle zbudowany, osępiały mężczyzna o szkockiej urodzie, za nim matka w swoim najlepszym świątecznym ubraniu, z elegancko wyhaftowaną wstążką na czepku i w nowym filcowym kapeluszu, ubrana w plisowane halki i składająca nieprzyzwoite, bluźniercze przysięgi.

Zawołałem syna i zapytałem go o drogę. Wskazał nieścisłe na zachód i północny zachód, wymamrotał niesłyszalne słowa i nie zwalniając kroku ruszył dalej przed siebie. Matka podążyła za nim nawet nie podnosząc głowy. Krzyczałem i krzyczałem za nimi, ale niewzruszeni wspinali się po zboczu i nie odpowiadali na moje wołanie. W końcu zosta-

łem zmuszony zostawić Modestynę samą i pobiec w ich kierunku, błagając o pomoc. Zatrzymali się dopiero, gdy dorównałem im kroku. Matka nadal rzucała przekleństwami; było w niej jakieś piękno i życzliwość, wyglądała na kogoś szanowanego. Syn ponownie wyjąkał coś szorstko i niewyraźnie, po czym w pośpiechu ruszył przed siebie. Tym razem zagadnąłem więc matkę, stojącą bliżej i przeprasząc za kłopot, oświadczyłem, że nie pozwolę im odejść, dopóki nie pomogą mi znaleźć właściwej drogi. Nie wydawali się być obrażeni – moja prośba raczej ich uspokoiła; zaproponowali, abym podążał za nimi, a potem matka zapytała, dlaczego o takiej godzinie szwendałem się przy jeziorze. Zareagowałem w szkockim stylu, pytając w odwecie, czy zostało jej dużo do przejścia. Odparła, bluzgając, że ma przed sobą półtorej godziny marszu. A potem, bez zbędnych pozdrowień, para ponownie ruszyła pod górę w zapadającym zmierzchu.

Wróciłem po Modestynę, pchnąłem ją energicznie do przodu i po dwudziestominutowej wspinaczce dobrnąłem do krawędzi płaskowyżu. Kraina, którą przebyłem tego dnia, wydała mi się jednocześnie zdiczala i smutna. Góra Mézenc i szczyty za Saint Julien odcinały się głębokim mrokiem na tle zimnego blasku na wschodzie; między nimi płaty masywów spływały w jeden szeroki cień, czasami gdzieś wyłaniał się zarys czarnej, leśnej endywii, gospodarstw pod postacią bladej, nieregularnej plamy albo śladów Loary, Gazeille lub Laussonne wędrujących w wąwozie.

Wkrótce dotarliśmy do głównej drogi i ogarnęło mnie zdumienie, gdyż w pobliżu zobaczyłem większą wioskę, a przecież mówiono mi, że w okolicy

jeziora mieszkają wyłącznie pstrągi. Droga dymiła o zmierzchu, a dzieci sprowadzały z pól bydło; dwie kobiety na koniach, w kapeluszach, czepkach i ubraniu właściwym dla regionu, przemknęły obok mnie dudniącym kłusem, wracając pewnie z kościoła albo targu w siedzibie gminy. Zapytałem dzieci, gdzie się znalazłem. W Bouchet Saint Nicolas, odpowiedziały. Popłątane szlaki i rady złośliwych chłopów doprowadziły mnie właśnie tutaj – około milę na południe od mojego celu, na drugą stronę wysokiego szczytu. Dotkliwie bolało mnie przecięte ramię, a od ciągłego poganiania Modestyny dokuczał mi ból ręki, przypominający ćmienie zęba. Zrezygnowałem z planu rozbicia obozu nad jeziorem i poprosiłem o nocleg w oberży.

III. Oścień

Oberża w Bouchet Saint Nicolas należała do najmniej pretensjonalnych domów zajezdnych, jakie miałem szansę odwiedzić, a podczas podróży widziałem wiele podobnych przybytków. Rzeczywiście, miała wystrój typowy dla francuskich wyżyn. Wyobraźcie sobie dwupiętrowy domek z ławką przed drzwiami, ze stajnią i kuchnią w środku (dzięki czemu Modestyna i ja słyszeliśmy się nawzajem przy kolacji), z najzwyczajszym klepiskiem oraz pokojem sypialnym dla pielgrzymów, i to bez zbędnych wygód oprócz posłania. W tego typu austeriach kuchnia przeznaczona jest do gotowania i spożywania posiłków, pełni także funkcję sypialni gospodarzy. Jeśli marzy ci się kąpiel, musisz myć się publicznie przy wspólnym stole. Jedzenie bywa skąpe – nieraz dostawałem jedynie suszonego dorsza i omlet – wino rozwodnione, a brandy ohydne; w dodatku wizyta tłustej lochy ryjącej pod bufetem i ocierającej się o twoje nogi nie jest najlepszym *apéritifem*.

Mieszkańcy oberży w dziewięciu przypadkach na dziesięć okazują się przyjaźni i uprzejmi. Gdy przekraczasz ich progi, przestajesz być obcym; i chociaż w drodze chłopci traktują nieznanomych opryskliwie i groźnie, kiedy dzielisz z nimi domowe ognisko, demonstrują odrobinę życzliwej kultury. Na przykład w Bouchet odkorkowałem butelkę Beaujolais i zaprosiłem gospodarza, żeby do mnie dołączył. Skosztował niewiele.

„Lubię takie wino, pojmujesz? Wypiłbym całe”.

W tych ubogich zajazdach od gościa oczekuje się, że będzie jadł własnym nożem; jeśli nie

poprosi o nóż, nie dostanie go. Pełne nakrycie stołu składa się ze szklanki, pajdy chleba oraz żelaznego widelca. Właściciel Bouchet serdecznie podziwiał mój sztylet, a jego sprężyna napęliła go zdumieniem.

„Założę się” – oceniał, ważąc nóż w dłoni – „że kosztował przynajmniej pięć franków”.

Gdy zdradziłem, że kosztował dwadzieścia, szczeka mu opadła.

Był powściągliwym, postawnym, roztropnym starcem, a do tego zadziwiająco tępym. Jego żona, pozbawiona równie delikatnych manier, potrafiła czytać, chociaż nie przypuszczam, aby kiedykolwiek to robiła. Miała trochę wiedzy o świecie i mówiła ze zdecydowaniem, jak ktoś, kto rządzi sprawami domostwa.

„Mój chłop nic nie wie”, wyznała, złowrogo skinając głową. „Jest jak zwierz”.

Starszy mężczyzna przytaknął żonie. W jej uwadze nie tkwił ani ton pogardy, a w zgodzie męża nie doszukałem się poczucia wstydu; fakty przyjęto lojalnie i bez zbędnych słów.

Dokładnie przepytywano mnie co do celów mojego *tournée*; kobieta szybko pojęła moje zamiary i wymieniła, co powinienem umieścić w swojej książce: „Czy zbieramy plony w takim a takim miejscu, czy mamy u nas knieje, jakie są nasze obyczaje i zwyczaje, co ja i gospodarz mówiliśmy do ciebie, piękno przyrody i tak dalej”. Po czym przesłuchiwała mnie spojrzeniem.

„Właśnie o to chodzi” – przyznałem.

„Widzisz” – rzuciła do męża – „wiedziałam”.

Oboje żywo interesowali się sagą moich nie-szczęść.

„Rano przygotuję ci coś lepszego od twojej laski” – obiecał gospodarz. „Bestia nic nie czuje, nie znasz powiedzenia *dur comme un âne*?¹³ Mógłbyś prać ją pałką do nieprzytomności i nigdzie byś nie uszedł”.

Coś lepszego! Nie wiedziałem, co chodziło mu po głowie.

Pokój sypialny został wyposażony w dwa łóżka. Dostałem jedno dla siebie i przyznam, że zrobiło mi się trochę głupio, gdy młody mężczyzna, jego żona i dziecko zajmowali drugie. To było moje pierwsze tego typu doświadczenie i modłę się do Króla Niebios, abym już nigdy w życiu nie musiał czuć się równie nieswojo. Nie przyglądałem się kobiecie, nie wiem o niej nic, poza tym, że miała kształtne ramiona i nie wydawała się ani trochę skrępowana moją obecnością. W gruncie rzeczy znajdowałem się w trudniejszej sytuacji. Para pomaga sobie wzajemnie zachować spokój i godność, to samotny dżentelmen powinien się czerwienić. Mimo wszystko z przejęciem przypisywałem mężowi własne zawstydzenie i starałem się zyskać jego względy filiżanką brandy z piersiówki. Wyznał, że jest bednarzem z Alais podróżującym do Saint Etienne w poszukiwaniu zarobku i że w wolnych chwilach realizuje zabójczo niebezpieczne marzenie, aby zostać producentem zapalek. Szybko założył, że ja sam handlowałem brandy.

Rano (poniedziałek, 23 września) wstałem pierwszy i z poczuciem winy pośpieszyłem się z toaletą, żeby ustąpić miejsca żonie bednarza. Wypiłem kubek mleka i poszedłem zwiedzić okolicę. Zostałem przejmujący poranek, wietrzny i szary, niemalże zimowy; mgliste chmury leciały szybko

¹³ Z fran. „głupi jak osioł”.

i nisko, wiatr gwizdał nad pustą trybuną, jedyna plamka koloru widniała daleko za górą Mézenc i wschodnimi wzgórzami, gdzie pomarańcza świtu wciąż pokrywała niebo.

To była piąta rano, cztery tysiące stóp nad poziomem morza; musiałem schować ręce w kieszeniach i przyspieszyć kroku. Chłopi dwójkami lub trójkami wychodzili do pracy w polu i wszyscy odwracali głowy, by przyjrzeć się nieznajomemu. Zeszłej nocy widziałem, jak schodzili z pól, teraz patrzyłem, jak na nie wracali – życie Bouchet w jednym zdaniu.

Kiedy wróciłem do oberży na małe śniadanie, gospodyni siedziała w kuchni i czesała córce włosy. Pochwaliłem ich urodę.

„Nie, nie” – zaprzeczyła matka – „wcale nie są ładne. Zobacz, jakie cienkie”.

W ten sposób mądrzy chłopi komentują niekorzystne cechy, gdy w wyniku dziwnego procesu demokratycznego wady większości decydują o standardach piękna.

„A gdzie jest *monsieur*?” – zapytałem.

„Pan domu jest na górze” – odparła – „robi dla ciebie oścień”.

Błogosławiony człowiek, który wynalazł oścień! Błogosławiony karczmarz z Bouchet Saint Nicolas, który pokazał mi, jak ich używać! Ta zwykła mioteczka ze szpilką wielkości jednej ósmej cala w mojej dłoni zamieniła się w berło. Jedno ukłucie i Modesty skakała przez zapraszające podwoje stajni. Jedno ukłucie i wpadała w dzielny, drobny kłus, którym pokonywała całe mile. Prawdę mówiąc, wcale nie gnała z nadzwyczajną prędkością, w najlepszym wypadku zrobiliśmy dziesięć mil w cztery godziny. Lecz w porównaniu z ubiegłym wieczorem dokonała

się w niej cudowna zmiana! Koniec ze ściskaniem brzydkiego kija, koniec z wymachiwaniem bolącym ramieniem, koniec z wywijaniem topornym mieczem – odtąd tylko dyskretna, dżentelmeńska szermierka. I cóż z tego, że od czasu do czasu kropla krwi spłynęła po moim, podobnym do klina zadzie Modestyny. Wolałbym, żeby było inaczej, ale wczorajsze występkę pozbawiły moje serce wszelkiej litości. Przewrotny, mały bies; trzeba kierować nim ukłuciem, skoro nie chce iść po dobroci.

Było ponuro i przenikliwie zimno; poza kawkadą kobiet na koniach i dwójką listonoszy droga aż do Pradelles wyglądała na obumarłą. Ledwie pamiętam jeden incydent. Przystojny żreback z dzwoneczkiem na szyi podbiegł do nas na skrawek wygonu, bojowo powąchał powietrze, jak ktoś, kto ma dokonać wielkich czynów i nagle inna myśl rozkwitła w jego niedojrzałym, zielonym sercu: stanął dęba i pogalopował z powrotem tak szybko, jak się pojawił, a jego dzwoneczek głośno brzęczał na wietrze. Jeszcze długo widziałem jego szlachetną sylwetkę, gdy wdrapywał się na wzniesienie i słyszałem dźwięk jego dzwoneczka; na głównej drodze pieśń przewodów telegraficznych wydawała się nieść tę samą melodię.

Pradelles stoi na zboczu wzgórza, wysoko nad Allier, otoczone bujnymi łąkami. Wszędzie, gdzie sięgał wzrok, widziałem chłopów ścinających ruń łąkową, co w porywisty, jesienny poranek nadało okolicy nietypowy dla tej pory zapach siana. Na przeciwległym brzegu Allier ziemia ciągnęła się kilometrami po horyzont: brunatny i popielaty krajobraz schyłku roku z czarnymi plamami jodły i białymi drogami zahaczonymi o wzgórza. Na to

przyćmione płótno chmury rzucały jednolity, purpurowy cień, zgasły i nieco gniewny, wyolbrzymiający wysokości i odległości, coraz głębiej rzeźbiący poskręcane wstęgi głównej drogi. Posępny widok orzeźwiający koczownika. Znajdowałem się teraz na skraju Velay; cały widzialny świat należał już do innego hrabstwa – do dzikiego Gévaudan, górzystego, nieuprawnego, dopiero co wyzwolonego od terroru wilków.

Niestety, wilki, jak bandyci, wydają się uciekać przed podróżnikami; możesz przemierzyć całą naszą wygodną Europę i nie spotkać przygody wartiej swojej nazwy. Lecz tutaj, jak nigdzie indziej, śmiertelnik znajdował się na granicy nadziei. Była to bowiem kraina pamiętnej BESTII, Napoleona wśród wilków. Co za dziejowy żywot! Przez dziesięć miesięcy bestia grasowała w opuszczonych kwadrach Gévaudan i Vivarais, zjadała kobiety i dzieci oraz „pasterki słynące z piękna” i ścigała uzbrojonych jeźdźców; widziano ją w samo południe, jak pędziła wzdłuż królewskiej drogi, a potem bryczkę pocztową i forysia uciekających przed nią w zawrotnym tempie. Ścigano ją jak przestępcę politycznego i za jej głowę oferowano dziesięć tysięcy franków. A kiedy została postrzelona i odesłana do Wersalu, coś podobnego!, okazało się, że była zwykłym wilkiem i to, co gorsza, niewielkich rozmiarów. „Bądź co bądź sięgałem od bieguna do bieguna”, jak śpiewał Alexander Pope¹⁴. Mały Kapral¹⁵ wstrząsnął Europą i gdyby wszystkie wilki były takie jak on, zmieniłyby historię ludzkości. M. Élie Berthet

¹⁴ Człowiek angielski poeta XVIII w., znany ze swojego niskiego wzrostu.

¹⁵ Przydomek Napoleona I Bonaparte.

napisał o bestii powieść – przeczytałem ją i nie zamierzam robić tego ponownie¹⁶.

W pośpiechu zjadłem obiad, wymigałem się gospodyni, przekonującej mnie żarliwie, że powinienem odwiedzić Naszą Panienkę z Pradelles, „która dokonała wielu cudów, chociaż była z drewna” i już po trzech kwadransach sprowadzałem Modestynę stromym zejściem prowadzącym do Langogne w dolinie Allier. Po obu stronach drogi, na dużych zakurzonych rozłogach, rolnicy szykowali się do kolejnej wiosny. Co pięćdziesiąt jardów wielkie, zeszywniałe woły cierpliwie tkwiły przy pługach. Jeden z tych stoickich, potężnych sług nagle zainteresował się mną i Modestyną. Radlina, po której się poruszał, leżała pod kątem do naszej drogi, a jego głowa była solidnie przymocowana do jarzma, jak kariatyda uwieczniona pod ciężkim gzymsem, lecz mimo to obrócił swoje olbrzymie, uczciwe oczy i podążył za nami z zamyślonym spojrzeniem dopóki pan nie kazał mu wrócić na zagon. Spod orających lemiesz, spod kopyt wołów i stóp rolników, tu i ówdzie motykami rozbijających suche bryły, wiatr unosił cienki, dymiący pył. Zjawiskowy, drżący, oddychający wiejski pejzaż. Schodziłem dalej, a wyżyny Gévaudan wznosiły się przede mną na tle nieba.

Dzień wcześniej przekroczyłem Loarę, teraz miałem przeciąć Allier; obie rzeki zaczynają swój bieg bardzo blisko siebie. Tuż przy moście w Langogne, gdy zaczął padać od dawna oczekiwany deszcz, siedmioletnia lub ośmioletnia dziewczynka zaczęła mnie sakramentalnym zwrotem: „D’où’s-t-ce-que vous venez?”¹⁷ Zrobiła to w tak dystyngowany spo-

¹⁶ *Bête du Gévaudan* z 1858 roku.

¹⁷ Z franc. „Skąd jesteście?”

sób, że aż wybuchnąłem śmiechem, co widocznie ją zraniło. Najwyraźniej oczekiwała bezwzględnego szacunku, więc pogrążona w dyskretnym urazie patrzyła jak odchodzę i śledziła mnie wzrokiem, gdy przeprowałem się przez most i wkraczałem do hrabstwa Gévaudan.

Wysokie Gévaudan

Co gorsza, wszędzie było bardzo dużo błota.
Nie znalazłem też w całej tej okolicy
ani jednego zajazdu lub gospody,
w której zwłaszcza ci słabsi mogliby nabrać sił.
John Bunyan, *Wędrówka Pielgrzyma*

I. Obóz w ciemności

Następnego dnia (wtorek, 24 września) dopiero o drugiej po południu zrobiłem wpis w dzienniku i przygotowałem plecak (zdecydowałem się w końcu go wykorzystać i uniknąć kłopotów z koszami), a pół godziny później wyruszyłem w stronę Le Cheylard l'Évêque, miejscowości położonej na granicy lasu Mercoire. Powiedziano mi, że ludzie pokonują tę trasę w półtorej godziny, zatem obliczyłem, że człowiek obciążony osłem przy dobrych wiatrach potrzebuje niecałe trzy razy tyle na przejście identycznej odległości.

W drodze pod górę długiego wzgórza ciągnącego się z Langogne na przemian padał deszcz i grad; wiatr wzrastał się powoli, lecz stale; obfite chmury – jedne ciągnące oberwane zasłony deszczu, inne skupione i lśniące jakby zapowiadały śnieg – w pędzie wypłynęły z północy i podążyły za mną wzdłuż mojego szlaku. Wkrótce znalazłem się poza uprawnym dorzeczem Allier, z dala od zmordowanych wołów i rolniczych krajobrazów. Wrzosowiska, wrzosowe bagna, połacie skał i sosen, brzoszowe lasy ozdobione klejnotami jesiennej żółci, tu i ówdzie kilka pustelniczych chałup i minorowych pól – oto bohaterowie tego kraju. Wzgórze ciągnęło się za wzgórzem, dolina za doliną; wąskie, omszałe, kamieniste ścieżki dla bydła rozgałęziały się na trzy lub cztery odnóża, po czym niknęły w podmokłych zagłębieniach, by na zboczach lub na skraju lasu ponownie zacząć swój przerywany bieg.

Nie istniała bezpośrednia droga do Cheylard, więc przejście przez ten nierówny kraj i urywany

labirynt ścieżek stanowiło duże wyzwanie. Musiało być już koło czwartej, kiedy minąłem Sagnerousse i ruszyłem dalej, ucieszony z bezpiecznego punktu wyjścia. Dwie godziny później, gdy w kołyszącym wietrze szybko zaczął nadciągać zmierzch, wynurzyłem się z jedliny, po której od dawna wędrowałem i znalazłem nie wieś, lecz bagniste zapadlisko osadzone wśród surowych, dudniących wzgórz. Idąc lasem słyszałem przed sobą dźwięk bydłęcych dzwonek; w końcu ujrzałem blisko tuzin krów i chyba dwa razy więcej innych czarnych postaci, najprawdopodobniej dzieci, chociaż mgła prawie nie do poznania wyolbrzymiała ich kształty. Istoty te w milczeniu podążały za sobą w kółku, raz łapiąc się za ręce, raz z szacunkiem i wciąż uwalniając się z uścisków. Taniec dzieci wywołuje niewinne i pogodnie skojarzenia, ale o zmroku na moczarach rzecz wydawała się niesamowita i fantastyczna. Nawet ja, człowiek wystarczająco odczytany w Herbercie Spencerze, przez chwilę czułem ciszę zapadającą w moim umyśle. Pchnąłem Modestynę naprzód i prowadziłem ją jak pijany statek przez otwartą przestrzeń. Ścieżką szła wytrwale i bez móżuła, jakby niesiona silnym wiatrem, lecz na darni i wśród wrzosów traciła rozum. Tendencja zagubionych podróżników do kręcenia się w kółko rozwinęła się u niej w maniackalnym stopniu i musiałem sterować nią z całych sił, żeby utrzymać w miarę prosty kurs.

Kiedy desperacko przedzierałem się przez mokradło, dziatwa i bydło zaczęły znikać z pola widzenia i na horyzoncie dostrzegłem już tylko dwie dziewczyny. Zapytałem je o dalszą drogę. Trzeba przyznać, że chłopci niechętnie doradzają wędrowcom. Jeden diabelski syn wycofał się

w głąb chaty i gdy się zbliżałem, zabarykadował drzwi; totalnie ogłuchł, chociaż dobijałem się z całych sił. Inny wskazał mi kierunek, który, jak się później okazało, źle zrozumiałem i uradowany obserwował, jak podążam w odwrotną stronę, nie myśląc nawet o wyprowadzeniu mnie z błędu. Nawet nie mrugnąłby okiem, gdybym całą noc błakał się po wzgórzach! A jeśli chodzi o wspomniane dziewczyny, były z nich zuchwałe, przebiegłe paskudnice, które miały w głowach tylko figle. Jedna pokazała mi język, druga radziła mi iść za krasulą; chichotały i ubawione stukały się łokciami. Bestia z Gévaudan pożarła około stu dzieci w tej okolicy; zacząłem o niej myśleć ze zrozumieniem.

Zostawiłem dziewczyny i przedarłem się przez bagno, a potem znalazłem się w następnym lesie i na dobrze oznakowanej drodze. Robiło się coraz ciemniej. Nagle Modestyna wyczuła, że z nas zakpiono, z własnej woli zwiększyła tempo i odtąd nie sprawiała mi żadnych problemów. To była pierwsza oznaka inteligencji, jaką miałem okazję u niej zauważyć. W międzyczasie wiatr zamienił się w małą wichurę, zaś z północy nadleciał kolejny ulewny deszcz. W półmroku po drugiej stronie lasu wypatrzyłem czerwień migającą w oknach. Trafiłem na wioskę Fouzilhic – trzy chaty na zboczu wzgórza w pobliżu brzoźowego lasku. Spotkałem sympatycznego starca, który przedzierał się ze mną przez nawałnicę, żeby bezpiecznie wyprowadzić mnie na drogę do Cheylard. Nie chciał słyszeć o żadnym wynagrodzeniu; potrząsał rękami nad głową, jakby mi grożąc i odmówił zapłaty głośną, krzykliwą gwarą.

Nareszcie, pomyślne zrządzenie losu. Moje myśli zaczęły krążyć wokół obiadu i ogniska, a serce słod-

ko miękło mi w piersi. Niestety, znajdowałem się na krawędzi nowych i większych nieszczęść! Nagle bez ostrzeżenia zapadła noc. Spędziłem pod gołym niebem wiele czarnych nocy, ale nigdy czarniejszej. Migotanie skał, lśnienie ścieżki tam, gdzie była dobrze wydeptana, kędzierzawa gęstość drzew – to wszystko, co potrafiłem rozpoznać. Ciemność nieba zaczynała się tuż nad głową; nawet chmury sunęły niewidocznie dla oka. Nie rozróżniałem własnej wyciągniętej dłoni od zarysu drogi ani bata uniesionego ku górze od konturów błoni czy nieboskłonu.

Wkrótce, zgodnie ze zwyczajem tego kraju, droga rozwidliła się na skalistej łące na trzy lub cztery ścieżki. Ponieważ Modestyna uwielbiała ubite drogi, postanowiłem zawierzyć jej instynktowi. Lecz po instynkcie osła należy spodziewać się dokładnie tego, co znaczy zestawienie powyższych słów; nie minęło pół minuty, zanim Modestyna zaczęła naokoło obchodzić głązy jak najbardziej zagubione osłątka na Ziemi. Gdybym wiedział, co może mnie czekać, rozbiłbym obóz dużo wcześniej, ale ponieważ to miał być krótki odcinek drogi, nie zabrałem dla siebie ani wina, ani pieczywa i niewiele ponad funt chleba dla przyjaciółki. W dodatku byliśmy porządnie mokrzy od deszczu. Gdybym miał przy sobie wodę, natychmiast rozłożyłbym biwak, ale ponieważ nie miałem ani kropli, z wyjątkiem ulewy, postanowiłem wrócić do Fouzilhic i prosić: „wyciągnijcie dalej swoją pomocną dłoń”¹⁸.

Łatwo podjąć decyzję, trudniej ją wykonać. Pograżony w przenikliwej, buczącej czerni byłem pewien jedynie kierunku wiatru. Zwróciłem twarz w jego stronę; droga niknęła i tonąłem we

¹⁸ *Samson Walczący* (1671) Johna Milтона. Tłum. własne.

wrzosowiskach albo zderzałem się z przeszkodami niemożliwymi do pokonania przez Modestynę, aż w końcu znów ujrzałem czerwone okna. Tym razem miejscowi inaczej mnie przyjęli. Nie trafiłem do Fouzilhic, lecz do Fouzilnac, wioski położonej blisko tej pierwszej, ale pod względem mentalności swoich mieszkańców odległej od niej o całe kontynenty. Przywiązałem Modestynę do bramy i dalej poszedłem sam, potykając się wśród skał i grzęnąc po kolana w trzęsawiskach, aż wygrzebałem się na początku wioski. W pierwszej oświetlonej chacie zastałem chorą, samotną kobietę; doradziła, żebym zwrócił się o pomoc do chłopca mieszkającego po sąsiedzku.

Mężczyzna, dwie kobiety i dziewczyna czym prędzej ruszyli, aby obejrzeć sobie włóczykija. Mężczyzna nie wyglądał złowrogo, za to uśmiechał się przebiegle. Oparty o framugę drzwi słuchał mojego sprawozdania. Prosiłem jedynie o odprowadzenie mnie do Cheylard.

„C'est que, voyez-vous, il fait noir?” – zapytał¹⁹.

Odparłem, że to właśnie dlatego potrzebowałem pomocy.

„Rozumiem” – kalkulował, wyraźnie niepokieszony – „mais – c'est – de la peine”²⁰.

Dałem mu do zrozumienia, że byłem gotów zapłacić. Potrząsnął głową. Podniosłem cenę do dziesięciu franków, ale nie dał się przekonać.

„Sam podaj cenę” – zaproponowałem.

„Ce n'est pas ça” – wydukał w końcu z oczywistą trudnością – „mais je ne sortirai pas de la porte”²¹.

¹⁹ Z franc. „Nie widzisz, że już ciemno?”

²⁰ Z franc. „Ale to kłopot”.

²¹ Z franc. „nie o to chodzi”; „nie przejdę przez drzwi”.

Zdenerwowałem się trochę i zapytałem, co innego mógł mi zaproponować.

„Gdzie potem pójdziesz?” – zapytał w odpowiedzi.

„Nie twoja sprawa” – nie zamierzałem zaspokajać jego bestialskiej ciekawości. „To nic nie zmienia w mojej sytuacji”.

„C'est vrai, ça” – przyznał ze śmiechem. „Oui, c'est vrai. Et d'où venez-vous?”²²

Święty straciłby nad sobą panowanie.

„Och” – nie wytrzymałem – „nie odpowiem ci, więc oszczędź sobie trudu. Jestem już wystarczająco spóźniony. Potrzebuję pomocy. Jeśli nie chcesz mnie odprowadzić, pomóż mi przynajmniej znaleźć kogoś, kto mógłby to zrobić”.

„Zaczekaj!” – wydarł się nagle. „Czy to nie ty za dnia przechodziłeś przez łąkę?”

„To on” – oświadczyła dziewczyna, której wcześniej nie rozpoznałem. „To ten sam *monsieur*; radziłam mu, żeby siedł za krasulą”.

„A co do pani, mademoiselle” – wtrąciłem – „to niezły z pani żartowniś”.

„Co się u diabła stało, że ciągle tu jesteś?” – dopytywał mężczyzna.

W rzeczy samej – co u diabła!

„Świetnie byłoby się stąd wydostać” – ponownie poprosiłem, aby znalazł mi przewodnika.

„C'est que” – powtórzył – „c'est que — il fait noir”²³.

„To się nieźle składa. Weźmiesz jedną ze swoich latarni”.

„Nie!” – wykrzyknął, cofając jakiś szlachetny zamiar i powrócił do swojej ulubionej sentencji: „Nie przejdę przez drzwi”.

²² Z franc. „To prawda. Tak, to prawda”. „A dokąd idziesz?”

²³ Z franc. „Ale jest już ciemno”.

Spojrzałem na niego. Widziałem jak na jego twarzy niewzruszony strach walczył z wielką ujmą; uśmiechał się żałośnie i zwilżał wargi językiem, jak nakryty na czymś uczeń. Kolejny raz zarysowałem swoją sytuację i zapytałem go, co mam zrobić.

„Nie wiem” – nudził dalej. „Nie przejdę przez drzwi”.

Bez wątpienia chodziło o Bestię z Gévaudan.

„Panie” – oznajmiłem w końcu władczym głosem – „jesteś pan tchórzem”.

Odwrociłem się plecami do rodzinnego zgromadzenia, które pospiesznie wycofało się do swojej fortyfikacji i słynne drzwi zostały ponownie zamknięte – ale dopiero wtedy, gdy usłyszałem za sobą gromki śmiech. *Filia barbara pater barbarior*²⁴. Pozwólcie, że powiem to w liczbie mnogiej: Bestie z Gévaudan.

Latarnie nieco mnie oślepiały, więc z trudem przedzierałem się przed kamienie i sterty śmieci. Inne domy we wsi stały pogrążone w czarnej ciszy i chociaż dobijałem się do różnych drzwi, moje pukanie zostawało bez odpowiedzi. To był zły pomysł. Gorzko przeklinając, zrezygnowałem z kwatery w Fouzilhac. Deszcz ustał, a nieustannie wzmagający się wiatr zaczął osuszać moje spodnie i płaszcz. Niech będzie – dałem za wygraną – z wodą czy bez, trzeba rozbić obóz. Najpierw musiałem wrócić po Modestynę. Jestem prawie pewien, że przez dwadzieścia minut szukałem mojej pani w zupełnej ciemności i gdyby nie to, że ugrzęzłem w znajomym trzęsawisku, przy którym zostawiłem oślicę, znalazłbym ją dopiero o świetle. Następnie zacząłem rozglądać się za schronieniem w lesie, bo wiatr stał się lodowaty i ogłuszający. Jakim

²⁴ Z łac. „Córka barbarzynka barbarzyńskiego ojca”.

cudem tak długo szukałem drzew w zalesionej krainie pozostaje kolejną z nierozwiązanych tajemnic tego dnia; mógłbym przysiąc, że poszukiwania zajęły mi dobrą godzinę.

W końcu po mojej lewej stronie zaczęły wyrastać mroczne drzewa i nagle, otoczywszy mnie z prawej strony, utworzyły pieczarę bezdennej czerni. Nie bez powodu użyłem słowa „pieczara”; ścieżka pod łukiem liści przypominała zejście do lochu. Błąkałem się tak długo, aż moja ręka napotkała grubą gałąź, do której przywiązałem wychudzoną, przemokniętą, przygnębioną oślicę. Potem opuściłem plecak, położyłem go wzdłuż wału na skraju drogi i odwiązałem pasy śpiwora. Doskonale wiedziałem, gdzie włożyłem latarnię, ale gdzie zapodziałem świece? Szukałem ich po omacku, przewracając pozostałe przedmioty, aż nagle moja dłoń natrafiła na lampę spirytusową. Zbawienie! Między drzewami huczał wiatr, słyszałem uginające się konary, widziałem liście wirujące przez pół mili, lecz scena mojego obozowiska była czarna jak smoła, a do tego szczelnie osłonięta. Knot zapłonął przy drugiej zapalce. Płomień, jednocześnie silny i zmienny, odciął mnie od całego wszechświata i podwoił ciemność otaczającą mnie nocy.

Przywiązałem Modestynę w taki sposób, aby mogła wygodniej się poruszać i połamalem jej na kolację połowę chleba; drugą połowę odłożyłem na śniadanie. Położyłem obok siebie potrzebne przedmioty, zdjąłem przemoczone buty i getry i owinąłem je wodoodpornym materiałem, ułożyłem plecak pod klapą śpiwora jak poduszkę, wsunąłem się do niego i otuliłem jak dziecko. Następnie otworzyłem puszkę kielbasy bolońskiej i pokru-

szylem ciasto czekoladowe, wszystko, co zostało mi do jedzenia. Wiem, że zabrzmi to obrzydliwie: przegryzałem jedno drugim, jak chleb i mięso. Jedynie, czym mogłem popić tę ohydłą miksturę, była czysta brandy: napój sam w sobie odrażający. Czulem się wyczerpany i wygłodniały; a kiedy nareszcie pojadłem, wypaliłem jednego z najsmaczniejszych papierosów w swoim życiu. Włożyłem kamień do słomkowego kapelusza, naciągnąłem na szyję i oczy klapę futrzanej czapki, włożyłem pistolet do ręki i wtuliłem się w owczą skórę.

Początkowo zastanawiałem się, czy dam radę zasnąć, bo serce biło mi szybciej niż zwykle, jakby z przyjemnym podnieceniem, którego nie pojmował mój umysł, ale w chwili, gdy przymknąłem powieki, skleił je subtelny fluid i otworzyłem je dopiero rano. Wiatr złapany wśród drzew śpiewał mi kołysankę. Czasami rozbrzmiewał przez kilka minut w stałym, równym rytmie, czasami wybuchał i uderzał niczym wielki młot, a drzewa smagały mnie wielkimi, popołudniowymi kroplami deszczu. Sypiając na wsi, po noc nocy słuchałem złowieszczonego koncertu leśnego wiatru, lecz, czy to z racji na inny gatunek drzew, odmienne ukształtowanie terenu, czy też dlatego, że leżałem pod gołym niebem w samym środku recitalu, w tych lasach Gévaudan wiatr zawodził jakoś inaczej. Słuchałem i słuchałem, a tymczasem sen stopniowo opanowywał moje ciało, ujarzmił moje myśli i zmysły; moim ostatnim przytomnym wysiłkiem było rozróżnianie dźwięków, a ostatnim przytomnym stanem zdumienie tym nieznanym jazgotem.

W ciągu nadchodzących, ciemnych godzin dwukrotnie odzyskałem świadomość – raz, gdy

kamień pod śpiworem zaczął uwierać mnie w plecy i drugi raz, gdy biedna, zahukana Modestyna, coraz bardziej wściekła, zaczęła stukać ciżemkami i wyskakiwać na drogę – i widziałem w górze gwiazdę lub dwie oraz koronkową krawędź liścia na tle nieba. Kiedy obudziłem się po raz trzeci (środa, 25 września), ziemię zalała niebieska jutrzeńka, matka zarania. Zobaczyłem liście pracujące na wietrze i wstęgę drogi, a gdy odwróciłem głowę, przywitała mnie Modestyna przywiązana do buka, stojąca w połowie ścieżki w postawie niezrównanej cierpliwości. Ponownie zamknąłem oczy i zacząłem rozmyślać o nocnych przeżyciach. Zaskoczyło mnie, jak łatwo i błogo minęła mi noc, nawet w tak burzliwą pogodę. Gdybym nie musiał rozbijać obozu po ciemku, unikałbym irytującego kamienia pod plecami; poza nim nie odczuwałem żadnych niedogodności, z wyjątkiem sytuacji, gdy wśród mieszanej zawartości śpiwora moje stopy ocierały się o latarnię lub drugi tom *Pasterzy Pustyni*; co więcej, nie poczułem ani oddechu zimna i wstałem pełen lekkich i jasnych myśli.

Otrząsnąłem się, włożyłem buty i getry, a następnie, łamiąc resztę chleba dla Modestyny, poszedłem zobaczyć, w jakiej części świata otworzyłem oczy. Ulisses, odstawiony na Itakę z umysłem zmąconym przez boginię, nie czuł się przyjemniej zabłąkany ode mnie. Całe życie szukałem przygody, czystej, przytomnej przygody, jakiej zaznali dawni herosi, więc obudzić się rano w przypadkowym zakątku lasu Gévaudan, nie rozróżniając północy od południa, tak niedorzeczny dla swoich sąsiadów, jak pierwszy człowiek na ziemi, rozbitek w głębi ładu, było spełnieniem ułamka moich snów. Znajdo-

wałem się na skraju małego, brzozowego lasku, ozdobionego kilkoma bukami; z tyłu przylegał do jedliny, a z przodu rozstępował się i opadał w płytką, łąkową kotlinę. Dookoła widniały nagie wierzchołki wzgórz, jedne blisko, inne daleko, w zależności od zamykającej się lub otwierającej perspektywy, ale żaden ze szczytów nie górował nad pozostałymi. Wiatr obejmował drzewa. Złote plamki jesieni na brzozech szamotały się drżąc. Firmament nade mną zappełnił się strunami i strzępkami mgły – latały, znikwały i pojawiały się na nowo, wirując wokół własnej osi jak akrobaci, gnane wiatrem przez kopułę nieba. Pogoda była dzika i bezlitośnie zimna. Zanim ziać zdążył opanować moje dłonie, zjadłem trochę czekolady, przełknąłem łyk brandy i wypaliłem papierosa. A kiedy spakowałem swój spiwór i przywiązałem go do siodła, dzień już zbliżał się na palcach do progu wschodu. Nie zrobiliśmy wielu kroków, zanim słońce, wciąż niewidoczne, wysłało blask złota nad zachmurzone góry rozciągnięte wzdłuż wschodniego nieboskłonu.

Wiatr pochwycił nas i przenikliwie pchnął na przód. Zapiąłem guziki płaszcza i w śpiewającym nastroju ruszyłem przed siebie, dołączając do przechodniów, gdy nagle, na zakręcie, znów pojawił się przede mną Fouzilhic. Spotkałem również starca, który poprzedniej nocy odprowadził mnie aż do tego miejsca. Na mój widok wybiegł z chaty z rękami uniesionymi w przerażeniu.

„Mój biedny chłopcze! – lamentował – „co to ma znaczyć?”

Wyjaśniłem mu, co się stało. Uderzał dłonią o dłoń, wywołując dźwięk przypominający turkoczące serce młynu, pełen pretensji do siebie,

że bezmyślnie pozwolił mi odejść, a kiedy usłyszał o maruderze z Fouzilhac, ogarnął go gniew i przygnębienie.

„Tym razem obejdzie się bez pomyłek” – obiecał.

I pokuśtykał ze mną (cierpiał na dotkliwy reumatyzm) przez około pół mili, aż prawie objąłem wzrokiem Cheylard, kolejny cel na mojej drodze, wypatrywany od tak dawna.

II. Cheylard i Luc

Jeśli mam być szczery, miejsce nie wyglądało na warte opisanych męczarni: kilka urywających się zaułków, brak choćby jednej solidnej ulicy, ciąg otwartych przestrzeni zarzuconych kłodami i pękami chrustu, kilka pochyłonych krzyży, kapliczka Matki Boskiej Łaskawej na szczycie małego pagórka, a wszystko to nad porywistą górską rzeką, w rogu wymarłej doliny. „Cożeście wyszli na puszcza widzieć? Izali trzcinę chwiejącą się od wiatru?”²⁵, pomyślałem sobie. A jednak toczyło się tutaj życie. Znalazłem tablicę upamiętniającą ubiegłoroczne nadanie Cheylard przywilejów, zawieszoną niczym sztandar w maleńkim, osuwającym się kościółku. Dowiedziałem się, że w 1877 roku mieszkańcy zebrali czterdzieści osiem franków dziesięć centymów na Dzieło Krzewienia Wiary. Żywiłem zatem głęboką nadzieję, że jakaś część tych pieniędzy trafi do mojej ojczyzny. Całe Cheylard zbiera po pół pensa na ciemne duszyczki z Edynburga, podczas gdy Balquhiddel i Dunrossness²⁶ oplakują wiaronłomstwo Rzymu. W ten sposób, ku wielkiej uciechy aniołów, okładamy się ewangelistami niczym uczniowie bijący się śnieżkami.

Tutejsza oberża była równie bezpretensjonalna. W kuchni znajdowało się całe wyposażenie niezamożnej rodziny: łóżka, kołyska, ubrania, półka na talerze, skrzynia na zboże i zdjęcie proboszcza. W środku zastałem pięcioro dzieci, jedno z nich

²⁵ Ewangelia św. Mateusza 11: 7. Biblia Brzeska.

²⁶ Szkockie parafie.

wkrótce po moim przybyciu zaczęło odmawiać poranny pacierz u stóp schodów, szóste zaraz miało się pojawić. Gospodarze życzliwie mnie przyjęli. Wyrazili szczere współczucie wobec moich nieszczęść. Las, w którym spałem, należał do nich, a kmiotka z Fouzilhac nazwali potworem niegodziwości i doradzali mi, nad wyraz przejęci, abym postawił go przed sądem, „bo przecież mogłem umrzeć”. Dobra żona była przerażona, widząc jak delektuję się kuflem surowego mleka.

„Zaszkodziś sobie” – zganiała mnie. „Daj, podgrzeję”.

Po tym, jak zacząłem dzień od skosztowania cudownego trunku, i ponieważ gospodyni miała dużo spraw do załatwienia, pozwolono mi, a nawet nakazano, zrobić sobie miskę czekolady. Moje buty i getry zostały powieszone do wyschnięcia, a najstarsza córka, widząc, że próbuję pisać dziennik na kolanie, dla mojej wygody w rogu komina opuściła stolik na zawiasach. Odnotowałem aktualności, wypilem czekoladę, a na koniec, przed wyjściem, zjadłem jeszcze omlet. Stolik aż kleił się od kurzu; jak wyjaśnili właściciele, rozkładano go tylko w zimie. Zajrzałem głęboko w górę otworu wentylacyjnego, przez brązowe mozaiki sadzy i kobaltowych oparów prosto w niebo; ilekroć do ognia dorzucano gałązki, płomienie przypalały mi nogi.

Gospodarz już w dzieciństwie poganiał muły; kiedy poszedłem osiodłać Modestynę, przekonałem się, jak celująco opanował swoją sztukę. „Będiesz musiał inaczej podzielić багаż, powinien składać się z dwóch części, żeby równo rozłożyć jego ciężar”.

Wyjaśniłem, że nie chcę więcej багаży i dla żadnej osłicy na świecie nie przeciąłbym śpiwora na pół.

„To ją męczy” – oznajmił poganiacz. „Szczególnie w marszu. Zobacz”.

Niestety, przednie nogi oślicy od wewnętrznej strony wyglądały jak surowa wołowina, a spod ogona kapą jej krew. Na początku wędrówki powiedziano mi i przyznam, że byłem gotów w to uwierzyć, że za kilka dni pokocham Modestynę jak własnego psa. Minęły trzy dni, przeżyliśmy razem kilka nieszczęść, a moje serce pozostało zimne jak ziemniak. Była wystarczająco urodziwa, aby jej się przyglądać, ale dostarczała wielu dowodów na swoją bezlitosną głupotę, odkupioną wprawdzie cierpliwością, lecz pogarszaną atakami przykrych i nierozsądnej beztroski. Nowe odkrycie potraktowałem jako kolejny argument przeciwko oślicy. Jaki był sens jej posiadania, skoro nie mogła nawet unieść śpiwora i kilku niezbędnych rzeczy? Oczyma wyobraźni widziałem nadciągający koniec bajki i siebie niosącego Modestynę na plecach. Ezop znalazł się na świecie, nie ma co gadać!²⁷ Zapewniam was, że ten krótki dzień marszu zacząłem spowolniały od męczących refleksji.

Ciażyły mi przykre myśli dotyczące Modestyny; w dodatku moja ogólna sytuacja nie wyglądała zachęcająco. Najpierw zerwał się tak okropny wiatr, że od Cheylard do Luc musiałem jedną ręką trzymać plecak; na domiar złego droga prowadziła przez jedno z najbardziej wynędzniałych osiedli ludzkich na świecie. Przypominały wioski w Wyżynnej Szkocji, z tą różnicą, że wyglądały dużo gorzej, były zimne i ubogie, pozbawione drzew i najlichszych

²⁷ Stevenson miał na myśli bajkę *Młynarz, jego syn i osioł* Jeana de La Fontaine’a. Historia opisana w bajce znana jest z twórczości Ezopa.

wrzosów, obrabowane z życia. Na drodze i na płotach wały się odpady, a linię drogi wyznaczały pionowe słupy, mające pomagać w przemieszczeniu się przez zasy.

Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć odwiedzić Luc lub Cheylard? – moja wybujała fantazja nie umiała poradzić sobie z tą kwestią. Osobiście nie podróżuję po to, żeby gdzieś dotrzeć, ale po to, aby podróżować. Podróżuję dla samego podróżowania. Przemieszczanie się to wspaniała sprawa; to wyraźniejsze odczuwanie potrzeb i problemów naszego życia, wychodzenie z pierzyny cywilizacji i odkrywanie pod stopami granitowej kuli usianej tnącymi krzemieniami. Niestety, kiedy mierzymy się z losem, bezustannie zajęci ważnymi sprawami, wakacje stają się rzeczą, na którą trzeba sobie zasłużyć. Trzymanie bagażu na siodle w trakcie wichury nadciągającej z mroźnej północy nie stanowi wielkiej próby sił, za to sprzyja zaangażowaniu i skupieniu umysłu. A gdy terażniejszość jest równie wymagająca, kto zadręczałby się przyszłością?

W końcu stanąłem ponad Allier. Trudno byłoby wyobrazić sobie brzydszą panoramę o tej porze roku. Osaczały mnie półkowe wzgórza, gdzieś pokryte lasem i polami, w innych miejscach układające się w kalenice na przemian gołe i pokryte włóchatymi sosnami. Wszędzie dominowały czerń i popiel, funeralną wstęgą ciągnące się aż do ruin zamku Luc z wysoką, białą figurą Matki Boskiej, która, jak słyszałem, ważyła pięćdziesiąt kwintali i 6 października miała zostać poświęcona. Przez tę żałobną scenerię sączyła się Allier i jej dopływ prawie takich samych rozmiarów, nagą doliną biegnący do Vivarais na spotkanie z matką. Pogoda

niecو się polepszyła i chmury płynęły eskadrą, ale nieokiełznany wiatr wciąż ścigał je po niebie i rzucał na ziemię wielkie, niezgrabne plamy ochry i cienia.

Odnalazłem Luc, podwójny szereg oddalonych od siebie domów, wrzucony między wzgórze a rzekę. Nie wyróżniał się żadnym wdziękiem ani żadną cechą godną uwagi, poza zrujnowanym zamkiem z zupełnie nową figurą Madonny o wadze pięćdziesięciu kwintali²⁸.

Zaskoczyło mnie, jak czysty i duży trafił mi się zajazd. Jadłodajnia stanowiła wzór najprawdziwszej kuchni – kuchni melodramatycznej, w której stołują się bandyci lub szlachcice w przebraniu: z dwoma skrzynkowymi łózkami, odgradzonymi schludnymi zasłonami w kratę, z szerokim kamiennym kominem, półką kominową o długości czterech jardów ozdobioną lampionami i dewocjonaliami, z kuframi i dwoma tykającymi zegarami. Gospodyni – przystojna, nieskora do rozmowy, ciemnowłosa staruszka, cała ubrana na czarno i w kruczym kapтурze wyglądająca jak zakonnica – dodawała charakteru tej już wystarczająco zagadkowej scenerii. Nawet izba sypialna z długimi blatami i ławami ustawionymi jak na dożynki, przy których do wieczery mogłoby usiąść pięćdziesiąt osób, z trzema łózkami ustawionymi pod ścianą miała swój niepowtarzalny nastrój. Kuląc się na słomie w jednym z tych łózek, całą noc pokutowałem z gęsią skórką i szczękającymi zębami, przykryty serwetami stołowymi; wyrwany ze snu, wzdychałem za moim śpiworem z owczej skóry i zasłoną z wysokiego, rozłożystego drzewa.

²⁸ 50 kwintali to 5 ton.

U Matki Boskiej Śnieżnej

Widzę
Monaster, Bractwo surowe...
Kimże ja jestem, że tutaj stoję?
Matthew Arnold

I. Ojciec Apollinaris

Następnego ranka (czwartek, 26 września) ponownie ruszyłem w drogę. Śpiwór (dla przypomnienia: zielona rolada długa na sześć stóp z kępkami niebieskiej wełny zwisającymi z obu końców) leżał całą długością w poprzek siodła. Wyglądał teraz zawrotnie malowniczo, nie obciążał już oślicy i, jak zauważyłem, trzymał się stabilniej, nieważne, co stało nam na drodze. Mimo to nie bez żalu zdecydowałem się na zmianę jego ułożenia. Bo chociaż kupiłem nowy sznur i w miarę szybko się uwinąłem, nie opuszczał mnie strach, że klapy i tak opadną i moje rzeczy potoczą się po linii marszu. Droga wiodła przez nagą dolinę rzeki, wzdłuż regionu Vivarais i Gévaudan. Wzgórza Gévaudan po prawej stronie wydały mi się bardziej nagie niż wzgórza Vivarais po lewej; te pierwsze miały niskie, postrzępione podszycie, które rosło gęsto w wąwozach i zanikało w osamotnionych szczelinach skalnych w ramionach i na szczytach gór. Tu i ówdzie sterczały smoliste ściany jodeł, gdzie indziej słały się pola uprawne. Obok rzeki biegła kolej, a właściwie jedyny czynny odcinek linii kolejowej w Gévaudan, chociaż trwają dalsze prace nad inwestycją, a nawet, jak mi mówiono, w Mende stoi już gotowa stacja. Za rok lub dwa i tutaj dotrze inny świat. Pustkowie zostało podbite. Teraz jakiś langwedocki Wordsworth napisze dialektem swój sonet: „Góry, doliny, ruczaje, cyście słyszały ten śramot”.

W miejscu zwanym La Bastide skierowano mnie z dala od rzeki i radzono mi podążać drogą biegnącą po lewej stronie między wzgórzami Vivarais,

w kierunku współczesnego Ardèche; znalazłem się teraz w niewielkiej odległości od mojego osobliwego celu, klasztoru trapistów pod wezwaniem Matki Boskiej Śnieżnej. Gdy opuściłem zacisze sosnowego lasu, wyszło słońce i nagle od południowej strony otworzył się przede mną porywający, dziki krajobraz. Wysokie, skaliste wzgórza w szafirowym błękicie zamykały widok; między nimi ścierały się ze sobą urwiste granie porośłe wrzosami; słońce lśniło w żyłach skalnych, a podszycie wspinało się rozpadlinami – tak pierwotne, jakimi Bóg uczynił je na początku. Pejzaż nie nosił ani śladu ręki człowieka; co więcej, nie nosił ani śladu jego stóp, z wyjątkiem miejsc, gdzie chłopci od pokoleń chodzili krętymi ścieżkami wśród buków, w górę i w dół po wyżłobionych zboczach. Otaczające mnie mgły teraz zamieniły się w chmury, płynęły szybko i świeciły w słońcu. Wziąłem głęboki oddech. Poczułem wdzięczność, że nareszcie patrzyłem na scenerię atrakcyjną dla serca. Lubie, gdy moje oczy odpoczywają na wyraźnie zarysowanych kształtach i gdyby sprzedawano szkice widoków, podobne do szkiców postaci, które pamiętam z dzieciństwa, tych czarno-białych za pensa i kolorowych za dwa, wydawałbym dwa pensy każdego dnia swojego życia.

Chociaż sytuacja na południu uległa poprawie, okolica wyglądała pusto i kasandrycznie. Pająkowe krzyże na szczytach wzgórz wskazywały na sąsiedztwo domu zakonnego; ćwierć mili dalej, gdzie z każdym krokiem widok na południe rozchylał się coraz szerzej, biały posąg Maryi w rogu świeżego zagonu kierował podróżnika w stronę Matki Boskiej Śnieżnej. Tutaj odbiłem na lewo i ruszyłem w świętą stronę, popędzając przed sobą świeckiego osła

i poskrzypując w swoich świeckich butach i getrach w kierunku azyłu ciszy.

Nie uszedłem zbyt daleko, gdy wiatr przywiał do moich uszu dudnienie dzwonu; nie wiedzieć czemu moje serce zamarło. Rzadko podchodziłem do świętego przybytku równie obojętnie jak do klasztoru Matki Boskiej Śnieżnej. Protestantkie wykształcenie nie poszło na marne. Lecz nagle, gdy wchodziłem w zakręt, od stóp do głów ogarnął mnie strach – poczułem niewolniczy, niemalże zabobonny lęk; nie zatrzymałem się, ale szedłem niezmiernie powoli, jak ktoś, kto niezauważony przekroczył granicę i zabłądził do krainy umarłych. Na wąskiej, nowousypanej drodze, między malutkimi sosenkami, stał średniowieczny zakonnik i walczył z taczką pełną darni. W dzieciństwie w każdą niedzielę studiowałem *Żywoty Pustelników* Marco Sadelera – magiczne druki, pełne drzew, pól i mediewalnych plenerów, po których wyobraźnia gonila jak po bezkresnych hrabstwach; teraz z pewnością miałem przed sobą jednego z bohaterów tych kunsztownych grawer. Był ubrany na białą jak typowe widmo, kaptur opadał mu na plecy, a przeprawa z taczką odsłoniła czubek jego głowy, łysy i pożółkły niby czaszka nieboszczyka. Jak gdyby został pogrzebany setki lat temu, a jego żywe części zamieniły się w ziemię, pokruszone broną rolnika.

Martwiła mnie kwestia etykiety. Czy powinienem zwracać się do osoby, która złożyła przysięgę milczenia? Oczywiście, że nie. Mimo to, zbliżając się, zdjąłem czapkę z dalece przesadną czcią. Odwzajemnił skinienie głowy i radośnie zagadnął: Czy szedłem do klasztoru? Kim byłem? Anglikiem? Ach, więc Irlandczykiem?

„Nie” – wyjaśniłem. „Szkotem”.

Szkotem? Coś podobnego, nigdy wcześniej nie widział Szkota. Obejrzał mnie skrupulatnie, a jego pocziwe, krzepkie oblicze promieniowało zacięciem chłopca patrzącego na lwa lub aligatora. Od niego dowiedziałem się, nie kryjąc oburzenia, że nie zostanę przyjęty do Matki Boskiej Śnieżnej; pewnie dostanę posiłek, ale nie mogę liczyć na nic więcej. Lecz potem, w miarę jak trwała nasza rozmowa i wyszło na jaw, że nie jestem handlarzem, lecz literatem, rysującym pejzaże i zamierzającym napisać książkę, mnich zmienił zdanie odnośnie możliwej gościny (obawiam się, że nawet w klasztorze trapistów obowiązuje gradacja przybyszów). Poinformował mnie, że muszę poprosić o nią ojca Przeora i przedstawić mu w całości swoją sytuację. Po namyśle postanowił mi towarzyszyć, wierząc, że jego obecność pomoże załatwić sprawę. Czy mógł powiedzieć, że jestem geografe?

Uznałem, że kłamstwo nie wyjdzie mi na dobre i sprzeciwiłem się.

„Zatem” – rzekł z rozczarowaniem – „powiem, że autorem”.

Wyglądało na to, że przebywał w seminarium z sześcioma młodymi Irlandczykami (dawno wyświęconymi), którzy prenumerowali gazety i informowali go o stanie spraw kościelnych w Anglii. Z niecierpliwością pytał mnie o doktora Puseya²⁹ – jak dobry samarytanin każdego dnia modlił się o jego nawrócenie.

„Wierzyłem, że zbliżył się do prawdy” – przyznał. „I jeszcze jej dosięgnie; ileż cnót tkwi w modlitwie”.

²⁹ Edward Bouverie Pusey (1800-1882), przywódca Ruchu Oksfordzkiego, który starał się przeciwdziałać rosnącemu liberalizmowi w Kościele anglikańskim.

Tylko ponury, bezbożny protestant czerpie wyłącznie przyjemność z homilii tak ujmującej i podnoszącej na duchu. Skoro już zahaczyliśmy o temat, sympatyczny ojciec zapytał mnie, czy jestem chrześcijaninem, a kiedy odkrył, że nie, czy też nie na jego sposób, przemilczał to z wielką życzliwością.

Droga, którą szliśmy i którą ten krzepki mnich w ciągu niespełna roku usypał własnymi rękami, doszła do zakrętu i odsłoniła kilka białych budynków stojących nieco dalej za lasem. Dźwięk dzwonu ponownie rozległ się w powietrzu. Stanęliśmy przed klasztorem. Ojciec Apollinaris (bo tak nazywał się mój towarzysz) zatrzymał mnie ruchem dłoni.

„W klasztorze nie mogę z tobą rozmawiać” – przypomniał. „Zwróć się do brata Portera, a wszystko będzie dobrze. Postaraj się mnie znaleźć w drodze powrotnej, to jeszcze pomówimy. Jestem zaszczycony, że mogłem cię poznać”.

Potem nagle uniósł ramiona, rozłożył dłonie i wykrzyknął dwukrotnie: „Nie wolno mi mówić, nie wolno mi mówić!”, po czym uciekł przede mną i zniknął w drzwiach klasztoru.

Nie ukrywam, że ta nieco upiorna ekscentryczność natychmiast ożywiła moje lęki, ale jeśli jeden mnich dał się poznać jako dobry i prosty człowiek, dlaczego inni nie mieliby okazać się tacy sami?

Podźwignąłem serce pełne łaski i zbliżyłem się do bramy tak szybko, jak pozwoliła mi na to Modestyna, najwyraźniej żywiąca urazę do klasztorów. To były pierwsze drzwi, jakich nie śpieszyła się przekraczać. Stanowczo, choć z drżącym sercem ruszyłem na mury. Ojciec Michael, ojciec Gościnnik i dwóch braci w brązowych szatach podeszli do furty i chwilę ze mną rozmawiali. Nie przeczę, że mój

śpiwór stanowił wielką atrakcję; omamił biednego Appolinarisa, który kazał mi przysiąc, że pokażę go ojcu przeorowi. Ale bez względu na to, czy chodziło o mój rodzinny kraj, śpiwór, czy też zgodę wśród braciszków, opiekujących się przybyszami, że ostatecznie nie byłem domokrażcą, nie miałem trudności z przekroczeniem klasztornych drzwi. Laik zaprowadził Modestynę do stajni, a ja i mój śpiwór zostaliśmy przyjęci do Matki Boskiej Śnieżnej.

II. Mnisi

Ojciec Michael, miły, uśmiechnięty mężczyzna o wypoczętej twarzy, na oko trzydziestopięcioletni, zabrał mnie do spiżarni i zaoferował kieliszek nalewki, aby zatrzymać mnie na kolacji. Rozmawialiśmy trochę, chociaż powinienem raczej napisać, że ojciec pobłażliwie, z powściągliwą uwagą, niczym dusza w glinianym naczyniu, słuchał mojej paplani. Kiedy pomyślę, że wstąpiłem głównie na posiłek i że minęło ponad osiemnaście godzin, odkąd ojciec Michael połamał swój chleb, dobrze rozumiem, że znosił naszą konwersację z cierpkim posmakiem. Jego zachowanie, mimo że nosił głowę wysoko, było niewiarygodnie łaskawe; nie ukrywam, że przeszłość ojca Michaela głęboko mnie intryguje.

Po skromnym poczęstunku zostałem sam ze swoim głodem w ogrodzie klasztornym, czyli na głównym dziedzińcu, wyłożonym piaszczystymi ścieżkami i zagonami różnokolorowych dalii, z fontanną i czarną figurą Matki Boskiej pośrodku. Wokół ogrodu stoją budynki: kwadratowe, przydymione, jeszcze niezniszczone przez czas i pogodę, bez zbędnych detali, prócz dzwonnicy i pary łupkowych dachów. Bracia w bieli i bracia w brązie sunęli cicho piaszczystymi alejkami, a kiedy wyszedłem na wirydarz, trzech zakapturzonych mnichów modliło się na kłęczkach na krużganku. Z jednej strony klasztor okala nagie wzgórze, z drugiej strony las. Matka Boska Śnieżna stoi czołem do wiatru, śnieg pada na nią z przerwami od października do maja, czasami nie topnieje przez sześć tygodni; nawet gdyby opactwo przeniesiono do Edenu, w sam śro-

dek niebiańskiego klimatu, zachowałoby zimowy, przejmujący wygląd. W ten posepny, wrześniowy dzień, zanim wezwano mnie na obiad, zimno wstrząsało całym moim ciałem.

Gdy nareszcie porządnie i smacznie pojadłem, brat Ambrose, koleżeński, wygadany Francuz (wszyscy mnisi zajmujący się przybyszami mają swobodę mówienia), zaprowadził mnie do pokoiku znajdującego się w części budynku przeznaczony dla klasztorników nieskładających ślubów. Czyste pomieszczenie z pobielonymi ścianami wyposażono w niezbędne artykuły pierwszej potrzeby: wypatrzyłem krucyfiks, popiersie zmarłego papieża³⁰, *O naśladowaniu Chrystusa* w języku francuskim, księgę medytacji chrześcijańskich oraz *Żywot Elizabeth Seton*, ewangelistki, jak się zdaje, z Ameryki Północnej³¹, a konkretnie z Nowej Anglii. Z mojego doświadczenia wynika, że w tamtych okolicach wciąż pozostało wiele do zrobienia w kwestii ewangelizacji; wystarczy pomyśleć o Cottonie Matherze!³² Chciałbym mu przeczytać to małe dziełko Seton w niebie, gdzie, mam nadzieję, aktualnie rezyduje; a może już zna je na pamięć i razem z panią Seton, swoją najdroższą przyjaciółką, chętnie łączą głosy w wiekuistym psalmie. Nad stołem – kończąc przerwany opis pokoju – wisiał zestaw regulaminów dla rekolekjonistów: na jakie nabożeństwa powinni

³⁰ Pius IX (właśc. Giovanni Maria Mastai Ferretti) żył w latach 1792-1878.

³¹ Elizabeth Ann Seton (1774-1821), założycielka Zakonu Sióstr Miłosierdzia (1809), pierwsza święta urodzona w Ameryce.

³² Cotton Mather (1663-1728), słynny purytański teolog, najbardziej pamiętany z powodu prześladowań czarownic w Salem.

uczęszczać, kiedy należy odmawiać koronki, kiedy medytować, o której trzeba wstać i jak długo odpoczywać. Na samym dole znajdował się interesujący dopisek: „Le temps libre est employé à l'examen de conscience, à la confession, à faire de bonnes résolutions, etc.”³³ Podejmowanie dobrych decyzji, a niech mnie! Tak łatwo zalecone, jakby chodziło o zapuszczanie włosów na głowie.

Ledwie obejrzałem swoją niszę, kiedy wrócił po mnie brat Ambrose. Chciał ze mną pomówić lokator pochodzący z Anglii. Chętnie się zgodziłem, po czym brat sprowadził żwawego, młodzińskiego, niskiego Irlandczyka koło pięćdziesiątki, ubranego w surowe szaty liturgiczne i noszącego na głowie coś, co z braku wiedzy nazywam klerykalną czapką ułańską. Przez siedem lat żył w odosobnieniu w żeńskim klasztorze w Belgii, a teraz od pięciu lat przebywał w klasztorze Matki Boskiej Śnieżnej; w tym czasie ani razu nie czytał angielskiej gazety; słabo mówił w języku francuskim, a gdyby nawet biegle nim władał, w swoim obecnym miejscu zamieszkania nie miał wielkich szans na pogawędkę. Dlatego był człowiekiem łaknącym towarzystwa, żadnym wiadomości i bezpośrednim jak dziecko. Gdy ja cieszyłem się, że znalazłem przewodnika po klasztorze, on zachwycał się widokiem angielskiej twarzy i możliwością usłyszenia rodzinnego języka.

Pokazał mi swoją celę, gdzie zwykł spędzać czas pośród brewiarzy, Biblii hebrajskich i powieści o Waverleyu³⁴. Stamtąd poprowadził mnie do kruzganków i kapitułarza, następnie przez zakrystię,

³³ Z franc. „Czas wolny jest przeznaczony na poszukiwanie duszy, spowiedź, podejmowanie dobrych decyzji itp.”

³⁴ Seria powieści historycznych Waltera Scotta (1771–1832).

gdzie wisiały suknie braci i szerokie słomiane kapelusze, podpisane zakonnymi imionami właścicieli pełnymi legendarnej łagodności i pasji, takimi jak Basil, Hilarion, Raphael czy Pacifique³⁵, a następnie do biblioteki, gdzie znajdowały się kolekcje dzieł Veuillota³⁶ i Chateaubrianda oraz, uwaga, *Ody i Ballady*, a nawet dramaty Moliera, nie mówiąc o niezliczonych traktatach Ojców Kościoła i dysertacjach najróżniejszych lokalnych i powszechnych znawców dziejów. Stąd miły Irlandczyk zaprowadził mnie do warsztatów, gdzie bracia pieką chleb, wyrabiają koła od wozu i wywołują zdjęcia; jeden mnich prowadzi kolekcję osobliwości, inny sprawuje pieczę nad hodowlą królików. U trapistów każdy zakonnik wybiera sobie prywatne zajęcie, któremu będzie się oddawał po spełnieniu obowiązków religijnych i tych związanych z utrzymaniem wspólnoty. Trapista musi śpiewać w chórze, o ile posiada głos i słuch, powinien też pomagać przy sianokosach, jeśli ma rękę do pracy, ale w godzinach prywatnych, chociaż nie wolno mu odpoczywać, ma prawo zajmować się tym, czym tylko sobie życzy: jeden brat parał się literaturą, ojciec Apollinaris upodobał sobie układanie ścieżek, a sam opat ćwiczył umiejętność oprawiania książek. Nawiasem mówiąc, nie tak dawno temu opat został konsekrowany i z tej okazji, dzięki szczególnej łasce, jego matce pozwolono wejść do kaplicy i wziąć

³⁵ Bazyli (329-379), Ojciec Kościoła greckiego; Hilarion (300-371), pustelnik, który wprowadził monastycyzm do Palestyny; Święty Raphael (1614-1693), benedyktyński mnich i historyk Portugalii; Święty Pacifique (1575-1653), francuski mnich i misjonarz.

³⁶ Francuski autor polemik, wyrażał skrajne doktryny Kościoła rzymskokatolickiego.

udział w ceremonii. Tego dumnego dnia matka opata zobaczyła, jak jej synowi zakładają mitrę na głowę; cieszę się, że ją wpuścili.

Podczas tego spaceru z miejsca na miejsce wielu milikliwych braciszków stanęło nam na drodze. Zwykle nie zwracali na nas większej uwagi niż na chmury w niebie, ale czasami dobry diakon zwracał się do nich z prośbą o pozwolenie na naszą obecność, której udzielano specyficznym gestem, przypominającym machanie łapami przez psa podczas pływania, lub odmawiano powszechnymi znakami sprzeciwu, koniecznie z opuszczonymi oczami i niewątpliwą aurą żalu, jaką można dostrzec u grzesznika bliskiego popełnienia zła.

Mnisi, dzięki szczególnej łasce opata, nadal spożywali dwa posiłki dziennie, chociaż trwał wielki post, rozpoczynający się we wrześniu i trwający do Wielkanocy, podczas którego teoretycznie wolno im jeść tylko raz w ciągu dwudziestu czterech godzin, dokładnie o drugiej po południu, dwanaście godzin po rozpoczęciu trudów dnia. Ich posiłki są skąpe, jedzą oszczędnie nader skromne porcje; chociaż wolno im skosztować wina z małej karafki, wielu powstrzymuje się od takiego pobłażania. Bez wątpienia większość ludzi rażąco się przejada; nasze posiłki służą podtrzymaniu życia, są także odprężającym i naturalnym oderwaniem się od jego znojów. Mimo to, chociaż nadmiar bywa szkodliwy, zwyczaje żywieniowe trapistów uważam za wadliwe. Gdy teraz o nich myślę, jestem zdumiony rześkimi twarzami i wigorem braci. Nie sądzę, abym kiedykolwiek widział szczęśliwsze bądź zdrowsze towarzystwo. A jednak, biorąc pod uwagę nieustanną harówkę mnichów, na tej nagrobnej wyżynie życie

jest niepewne, a śmierć często zagląda do Matki Boskiej Śnieżnej. Przynajmniej tak mi powiedziano. Więc nawet jeśli trapiści umierają łatwo, bez wątplenia muszą żyć zdrowo, ponieważ wszyscy mają jasne, promienne oblicza, a jedyny chorobliwy znak, jaki udało mi się zaobserwować, to ten niezwykle błysk w ich oczach, raczej potęgujący wrażenie ogólnej żywotności i werwy.

Zakonnicy, z którymi rozmawiałem, byli wyjątkowo usposobieni i mieli w sobie coś, co nazwałbym po prostu świętą radością mowy i duszy. Widziałem notatkę skierowaną do gości, proszącą ich, by nie czuli się urażeni zwięzłą mową gospodarzy, gdyż mnisi powinni jak najwięcej milczeć. Notatka nie wydała mi się konieczna. Wszyscy bracia ulegali niewinnym dyskusjom i jak wynika z mojego doświadczenia, w klasztorze łatwiej było zacząć aniżeli przerwać dysputę. Za wyjątkiem ojca Michaela, który niejedno w życiu przeżył, życzliwie i zdrowo interesowali się wszelkiego rodzaju tematami – polityką, podróżami, moim spiworem, czerpiąc wyraźną satysfakcję z dźwięku swoich głosów.

Jeśli chodzi o mnichów żyjących w absolutnym milczeniu, mogę się tylko domyślać, w jaki sposób znoszą swoją uroczystą i zatrważającą izolację. W zakazie przebywania kobiet na terenie klasztoru, jak również w składanych ślubach milczenia dostrzegam przemyślaną strategię, nie wspominając oczywiście o kwestii umartwienia. Miałem pewne doświadczenia ze świeckimi komunami o charakterze artystycznym, żeby nie powiedzieć: bachanckim i poznałem więcej niż jedną wspólnotę, która rozpadła się tak szybko jak powstała. Niewykluczone, że podążając za regułą cystersów

przetrwałyby dłużej³⁷. W obecności drugiej płci stowarzyszenie bezbronnych mężczyzn ma niewielkie szanse na przetrwanie: silniejsze przyciąganie z pewnością zrobi swoje; do porzucenia ambicji z dzieciństwa i planów młodości wystarczy krótka wymiana zdań; pod spojrzeniem słodkich oczu i w dźwięku pieszczotliwego akcentu, pobrane nauki, osiągnięcia na polu sztuki i zawodowa męska aktywność błyskawicznie się rozpuszczają. Język jest dopiero kolejną, wielką przeszkodą.

Trochę mi wstyd kontynuować tę doczesną krytykę reguły zakonnej, ale jest jeszcze jeden powód, dla którego zgromadzenie trapistów jawi mi się jako wzór mądrości. O drugiej w nocy serce uderza w pierścień dzwonu i uderzenie powtarza się godzina po godzinie, a czasem co kwadrans aż do ósmej, czyli do pory odpoczynku; dzień składa się z nieskończonej ilości różnych zajęć. Na przykład frater hodujący króliki przez cały dzień biega od swoich klatek do kaplicy, od kapitułarza do refektarza, co godzinę ma swoją partię do odśpiewania i obowiązek do wykonania; od drugiej w nocy, kiedy wstaje w ciemności, do ósmej wieczorem, gdy wraca po próżniaczy sen, stoi na nogach pochłonięty najróżniejszymi sprawami. Znam wielu niesłychanie wartościowych ludzi, niemających tyle szczęścia w dysponowaniu własnym życiem. W jak wielu domach melodia klasztornego dzwonu, dzieląca dzień na cykle, przyniosłaby spokój ducha i zdrową aktywność ciała! Mówimy o trudnościach klasztornego żywota, tymczasem prawdziwym utrapieniem

³⁷ Trapiści do 1894 roku stanowili nurt obserwancki w obrębie cystersów, dążący do rygorystycznego przestrzegania reguły.

jest bycie bezmyślnym głupcem i zgoda na niewłaściwe zarządzanie własnym czasem.

Być może z tej perspektywy lepiej zrozumiemy egzystencję mnicha. Przed przyjęciem do zakonu wymagany jest długi nowicjat i mnóstwo dowodów stałości ducha oraz siły ciała, lecz mimo to wśród najmłodszych mieszkańców klasztoru nie odczułem ani odrobiny zniechęcenia. W pracowni fotografa, wyglądającej wręcz niesamowicie na tle pozostałych oficyn, moją uwagę przyciągnął portret młodego mężczyzny w mundurze szeregowca. Przedstawiał jednego z nowicjuszy, który osiągnąwszy wiek służył przez pewien czas przechodził musztrę i pełnił wartę na straży garnizonu w Algierze. Ten brat z pewnością poznał inny rodzaj życia, lecz zaraz po zwolnieniu ze służby wrócił, aby dokończyć nowicjat.

Sama surowość reguły zakonnej uprawnia mnicha do wstępu do nieba. Chory trapista wcale nie rezygnuje z przyjętej rutyny; leży na łożu śmierci w identycznej postawie, w jakiej modlił się, dwoił i troił w oszczędnych minutach swojego życia, a kiedy przybywa Wyzwoliciel, zanim jeszcze zdążą ubrać zmarłego w sutannę i położyć go w oratorium wśród nieustannych śpiewów, dzwony zawieszone na łupkowym dachu zrywają się jak na ślubie i już ogłaszają po okolicy, że kolejna dusza poszła do Boga.

W nocy, pod przewodnictwem miłego Irlandczyka, zająłem miejsce na galerii, żeby wysłuchać komplety i *Salve Regina*, którą trapiści kończą każdy dzień. Nie widziałem u nich żadnej z tych ceremonii, które w kościele katolickim uderzają protestantów swoją infantylnością i jarmarcznym tonem. Chłodna prostota, potęgowana romantyzmem otoczenia, przemówiła bezpośrednio do mojego serca. Pa-

mięta pobieloną kaplicę, zakapturzone postaci w prezbiterium, świece na przemian zasłaniane i odsłaniane, mocny męski śpiew, ciszę następującą po chorale, widok zakapturzonych głów pochylonych w litanii i nagle wyraźne, gwałtowne bicie dzwonu, włamującego się, aby obwieścić, że ostatni urząd się skończył i nadeszła godzina snu. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego uciekłem na dziedziniec z głową pełną szalejących wizji i stałem przed klasztorem jak człowiek oszołomiony wietrzną, gwiazdzistą nocą.

Oczywiście zmęczenie zaczęło opanowywać moje ciało; kiedy biografia Elizabeth Seton przygasiała mój umysł – co za nudna opowieść – chłód i szum wiatru wśród sosen (moja komnata znajdowała się po stronie klasztoru przylegającej do lasu) sprawiły, że zapragnąłem snu. Miałem wrażenie, że bicie dzwonu obudziło mnie punktualnie o północy, chociaż była już druga nad ranem. Wszyscy bracia spieszyli do oratorium; o tej przedwcześnie godzinie żywe duchy zaczynały mozolną harówkę. Żywe duchy – co za upiorna idea. Przypomniały mi się wtedy słowa francuskiej piosenki, opowiadające o tym, co najcenniejsze w naszej szalonej egzystencji:

“Que t’as de belles filles,
Giroflé!
Girofla!
Que t’as de belles filles,
L’Amour let comptera!”³⁸

³⁸ „Jak wiele pięknych córek masz,

Giroflé!

Girofla!

Miłość tylko zliczy

Jak wiele pięknych dzieci”.

Piosenka z operetki *Giroflé-Girofla* (1874) Charlesa Lecocq’a.

I wychwalałem Boga, że mogę swobodnie wędrować, mieć nadzieję i kochać.

III. Lokatorzy

Mój pobyt w Matce Boskiej Śnieżnej wiązał się z jeszcze jednym zajściem. O tej porze roku nie mieszkało tu wielu pensjonariuszy, lecz w zajmowanej przeze mnie, dostępnej dla wszystkich części klasztoru miałem sąsiadów. Znajduje się ona tuż przy furcie i mieści mały refektarz na parterze oraz korytarz na piętrze z celami podobnymi do mojej. Zapomniałem, że ulokowano tu również pokoje gościnne; pobyt kosztuje od trzech do pięciu franków za dzień, raczej mniej niż więcej. Przypadkowi goście tacy jak ja mogą złożyć dobrowolną ofiarę. Wspomnę jedynie, że kiedy wyjeżdżałem, ojciec Michael odmówił przyjęcia ode mnie dwudziestu franków, ponieważ uznał, że proponowana przeze kwota była przesadnie wysoka. Wyjaśniłem mu, dlaczego oferowałem tak wiele, ale nawet wtedy, kierowany frapującym poczuciem honoru, nie chciał wziąć pieniędzy do własnych rąk: „Nie mam prawa odmówić przyjęcia datku na klasztor” – wyjaśnił – „lecz wolałbym, żebyś przekazał go jednemu z braci”.

Obiad zjadłem sam, ponieważ późno się zebrałem, ale do kolacji usiadłem z dwoma innymi gośćmi. Jednym z nich był wiejski proboszcz, który rano przyszedł z siedziby swojego probostwa w pobliżu Mende, aby cieszyć się czterema dniami wyciszenia i modlitwy. Posiadał wygląd grenadiera o ogorzałej twarzy i okrągłych zmarszczkach chłopa, a ponieważ wiele narzekał na spódnicę przeszkadzającą mu w marszu, mam w głowie jego wyraźny, znamienny portret, jak kroczy przez pęsepné wzgórza Gévaudan – wy-

prostowany, grubokościsty, w plisowanej sutannie. Drugi z gości, niski, siwowłosa, gruby mężczyzna, w wieku od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, nosił tweedową marynarkę i karmazynową, dekoracyjną wstążkę w dziurce od guzika³⁹. Nie potrafiłem go rozgryźć. Był doświadczonym żołnierzem, który niejedno przeżył i awansował do stanowiska dowódcy; zachował część energicznych, zdecydowanych manier obozowych. Gdy jego rezygnacja ze służby została zaakceptowana, natychmiast przybył do Matki Bożej Śnieżnej jako pensjonariusz i po krótkiej obserwacji klasztornych rytuałów postanowił zostać nowicjuszem. Nowe życie powoli zaczynało zmieniać jego wygląd; nabrał nieco spokojnego i słonecznego powietrza, jakim oddychali bracia, już nie był oficerem, ale jeszcze nie był trapistą: zdradzał cechy charakteru zarówno wojskowego, jak i konwersa. Z pewnością skrywał interesujący życiorys. Wydostawszy się z chaosu armat i trąb, trafił do tego niemego kraju graniczącego z krainą umarłych, gdzie ludzie śpią w cmentarnych ubraniach i jak zjawy porozumiewają się znakami.

Przy kolacji dyskutowaliśmy o polityce. Podczas pobytu we Francji obiecałem sobie głosić polityczną dobrą wolę i umiar w zapatrywaniach oraz powoływać się na przykład Polski, tak jak niektórzy angielscy panikarze rozpamiętują dzieje Kartaginy⁴⁰. Kapłan i dowódca zapewnili, że zgadzają się z moimi refleksjami i ciężko wzdychali nad zacie-

³⁹ Wstążka oznaczająca przynależność do Legii Honorowej.

⁴⁰ Aluzja autora do rozbiorów Polski, których główną przyczyną miała być niezgoda i kłótniowość Polaków, w Europie Zachodniej tamtych czasów (słusznie czy nie), urastająca do rangi symbolu autodestrukcji państwa przez jego obywateli.

kłością współczesnych uczuć. „Przecież nie można powiedzieć niczego, z czym ktoś mógłby się nie zgodzić” – zauważyłem – „bo ten ktoś od razu leci na ciebie z pięściami”.

Obaj przyznali, że taki stan rzeczy jest niechrześcijański.

Kiedy tak zgadzaliśmy się ze sobą, mój język aż rwał się, by wygłosić pochwałę dla umiarkowania Gambetty. Twarz byłego żołnierza natychmiast zalała się krwią; uderzył dłońmi w stół jak niegrzeczny małolat.

„Comment, monsieur?!” – krzyknął. „Jakim cudem? Gambetta umiarkowany? Ośmieli się Pan uzasadnić?”⁴¹

Lecz ksiądz nie zapomniał o tezie naszej debaty. U szczytu swojej furii żołnierz zobaczył ostrzegawczy wyraz na jego twarzy; absurdalność własnego zachowania dotarła do niego w mgnieniu oka i scysja między nami nagle się urwała.

Dopiero rano, siedząc przy kawie (piątek, 27 września), moi rozmówcy dowiedzieli się, że jestem heretykiem. Przypuszczam, że poprzedniego wieczoru wprowadziłem ich w błąd kilkoma pełnymi podziwu komentarzami na temat życia monastycznego. Prawda wyszła na jaw dopiero w wyniku bezpośredniego pytania. Zarówno prostolinijny ojciec Apollinaris, jak i bystry ojciec Michael potraktowali mnie tolerancyjnie, natomiast dobry irlandzki diakon, gdy usłyszał o tym sakralnym mankamencie, poklepał mnie po ramieniu i postawił diagnozę: „Musisz zostać katolikiem i pójść do nieba”. Wyglądało na to,

⁴¹ Léon Gambetta (1838–1882), francuski polityk, przywódca partii republikańskiej w okresie II Cesarstwa i III Republiki, premier Francji od 1881 do 1882.

że trafiłem na odmienny gatunek ortodoksów. Kapłan i diakon byli zgorzkniali, drętwi i niedouczeni, jak najgorsi ze Szkotów, a nawet, co tu kryć, jeszcze gorsi. Kapłan parsknął głośno jak koń bojowy.

„Et vous prétendez mourir dans cette espèce de croyance?” – upewnił się⁴². Nie znam współczesnej czcionki drukarskiej na tyle dużej, aby wiernie oddać jego akcent.

Pokornie odparłem, że nie mam zamiaru zmieniać zdania.

Oczywiście nie mógł pozwolić na tak nikczemną postawę. „Nie ma mowy” – przynaglił. „Musisz się zmienić. Trafiłeś do nas, Bóg Cię tu przyprowadził i musisz skorzystać z okazji”.

Postanowiłem zmienić taktykę i odwołałem się do tradycji rodzinnych, chociaż rozmawiałem z księdzem i żołnierzem, wzorami porzucenia rodzinnych zobowiązań.

„Twój ojciec i matka?!” – wrzasnął ksiądz. „To się dobrze składa, będziesz mógł ich nawrócić”.

Już widzę wzrok mojego ojca! Wolałbym raczej zajmować się lwem gaetulskim w jego jaskini niż podjąć tak nieczne zamiary przeciwko teologowi rodziny.

Ale polowanie zdążyło nabrać impetu; ksiądz i żołnierz z całych sił wołali o moje nawrócenie, a Dzieło Krzewienia Wiary, które w 1877 roku ludność Cheylard zaprenumerowała za łączną sumę czterdziestu ośmiu franków dziesięciu centymów, walecznie kartkowano przeciwko mnie. To była dziwaczna, nad podziw skuteczna egzorta. Nie starali się przekonywać mnie argumentami, ponieważ mógłbym wysunąć kontrargumenty; nic podobnego, przyjęli za pewnik, że moja sytuacja zarówno przera-

⁴² Z franc. „Więc zamierzasz umrzeć w tej wierze?”

żała mnie i krępowała, i nawracali mnie „dowodem z odpowiedniego momentu”. Otóż, wnioskowali, skoro Zbawiciel zaprowadził mnie do Matki Boskiej Śnieżnej, nadeszła wyznaczona godzina.

„Nie dajcie się powstrzymywać fałszywym wstydem” – rzucił kapłan na zachętę.

Dla kogoś, kto podobnie ocenia wszystkie wierzenia i kto nigdy nie dostrzegał, nawet przez krótki czas, wyższości jednej religii nad drugą z perspektywy wiecznej strony rzeczy (bez względu na to, jak wielce rozczarowuje mnie życie doczesne), zaistniała sytuacja musiała stać się zarówno niesprawiedliwa, jak i bolesna. Chciałem zachować się taktownie i zaryzykowałem popełnienie drugiego błędu, próbując ugasić ogień tezą, że ostatecznie nasze odmienne wiary nie różnią się od siebie i wspólnie zbliżamy się z różnych stron do tego samego, akceptującego Przyjaciela i Ojca. To, jak się zdaje świeckim duchom, jedyna ewangelia godna swojej nazwy. Ale ilu ludzi, tyle ewangelii – moja rewolucyjna aspiracja sprowadziła na księdza wizję terroru prawa mojżeszowego. Uczepił się wstrząsających szczegółów scenografii piekła. „Potępieńcy” – przypomniał, cytując małą książeczkę, którą dopiero co skończył czytać i którą, aby wzmocnić swoje racje, postanowił wymachiwać mi teraz przed oczami – „mieli zajmować niewygodną postawę ciała przez całą wieczność, poddawani najgorszym torturom”. Kiedy oddawał się dywagacjom, cały puchł od szlachetności własnego entuzjazmu.

W rezultacie nawracająca mnie dwójka doszła do wniosku, że powinienem odszukać przeora, ponieważ opat był nieobecny i przedłożyć mu sprawę.

“C’est mon conseil comme ancien militaire” – zauważył dowódca – “et celui de monsieur comme prêtre”⁴³.

„Oui” – dodał proboszcz, dobrotliwie kiwając głową. „Comme ancien militaire – et comme prêtre”⁴⁴.

W chwili, gdy onieśmienie odebrało mi mowę, wszedł jeden z mnichów – niski brunet, ruchliwy jak młody węgorz, mówiący z włoskim akcentem – i od razu rzucił się w wir scysji, tyle że z mniej furiacką i bardziej przekonującą energią, jak przystało na jednego z tych czarujących zakonników. Spójrz na mnie, nalegał. Reguła klasztorna była koszmarnie trudna, on tak mocno chciał zostać we własnym kraju, wiadomo, jak tam jest pięknie, och, piękne Włochy, ale we Włoszech nie znalazł trapistów, a miał duszę do zbawienia, więc musiał przybyć tutaj.

Obawiam się, że w głębi duszy jestem, jak mówił o mnie zabawny indyjski krytyk, „kapryśnym hedonistą”, ponieważ motywy wyborów życiowych zakonnika wywołały we mnie głęboki szok. Wolałbym wierzyć, że wybrał życie dla samego życia, nie dla jego ukrytych celów, a to pokazuje, jak głęboko brakowało mi zrozumienia dla pocziwych trapistów, nawet gdy starałem się im współczuć. Ale dla proboszcza „dowód z wyrzeczenia” wydawał się decydujący.

„Posłuchaj!” – zaklinał mnie. „Widziałem tu nawet markiza, markiza, markiza” – powtórzył trzykrotnie święte słowo – „i inne osoby z wyższych

⁴³ Z franc. „To dobra rada byłego żołnierza” – zauważył dowódca – „i dobra rada księdza”.

⁴⁴ Z franc. „Tak” – dodał proboszcz, pobłażliwie kiwając głową; „Radzimy ci jak były żołnierz – i jak ksiądz”.

sfer, nawet generałów. A tu, u twojego boku, stoi dżentelmen, który tyle lat służył w armii – odznaczony, wprawiony wojownik. Przyszedł do nas, gotowy poświęcić się Bogu”.

W tym momencie moje zażenowanie osiągnęło już taki stopień, że straciłem pewność siebie i wymknąłem się z pokoju. Był wściekle wietrzny poranek z bezmiernie czystym niebem, długie, mocne salwy słońca uderzały o ziemię; aż do obiadu wędrowałem po dzikim kraju w stronę wschodu, potwornie miotany i bity przez wichurę, ale nagradzany niesamowitymi widokami.

Dzieło Krzewienia Wiary wznowiono przy obiedzie, co podwójnie mnie zniesmaczyło. Ksiądz zadawał mi wiele pytań dotyczących godnej pogardy wiary moich ojców, a odpowiedzi przyjmował z czymś w rodzaju kościelnego chichotu.

„Wasza sekta” – wycedził w pewnym momencie. „Bo przyznasz chyba, że nazwanie tego religią byłoby zbyt wielkim zaszczytem”.

„Jak sobie życzysz, sir” – skwitowałem. „La parole est à vous”⁴⁵.

W końcu nie mogłem już wytrzymać i chociaż ksiądz był u siebie w domu i miał już swoje lata, a więc należał mu się szacunek, zaprotestowałem przeciwko tym ordynarnym odzywkom. Popatrzył na mnie z płacziwą dezaprobatą.

„Zapewniam cię” – przyrzekał – „że w głębi serca wcale nie jest mi do śmiechu. Nie kieruje mną nic prócz zainteresowania twoją duszą”.

Tak zakończyło się moje nawracanie. Uczciwy sługa pański! Nie był podejrzanym oszustem, lecz wiejskim proboszczem, pełnym gorliwości i wiary.

⁴⁵ Z franc. „Ma pan prawo do własnego zdania”.

Niech długo stąpa po Gévaudan w swojej plisowanej sutannie – wystarczająco silny, aby przemierzać góry i pocieszać parafian w obliczu śmierci! Śmiem twierdzić, że odważnie pokonałby śnieżycę, gdyby wezwał go obowiązek; nie zawsze najgorliwszym wierzącym jest ten, kto jest najbystrzejszym apostołem.

Wysokie Gévaudan

(ciąg dalszy)

Łóżko było zasłane, pokój był wygodny,
Na noc punktualnie rozjaśniły się gwiazdy;
Powietrze znieruchomiło, woda bystro płynęła;
Nie musieliśmy wołać służącej ni parobka –

Kiedy mieszkaliśmy razem, mój osioł i ja
W zielonym hoteliku Pana Boga.
*Ze starej sztuki*¹

¹ Wiersz Roberta Louisa Stevensona zatytułowany *A Camp*, opublikowany później w zbiorze poezji *Underwoods* (1887). Stevenson udaje, że cytuje ze „starej sztuki”, zgodnie ze zwyczajem Sir Waltera Scotta.

I. Przez Goulet

Podczas kolacji zerwał się wiatr, na szczęście niebo pozostało czyste; w tych nienajgorszych okolicznościach objuczyłem Modestynę przed bramą klasztoru. Towarzyszył mi mój irlandzki kompan. Przechodząc przez las, spotkaliśmy ojca Apollinarisa ciągnącego swoją taczkę i on także porzucił pracę, aby – trzymając w swojej dłoni moją dłoń – odprowadzić mnie jakieś sto jardów. Z nieudawanym żalem rozstałem się najpierw z Irlandczykiem, a potem z ojcem Apollinarisem, ale czułem już euforię podróżnika, który otrząsa się z kurzu pewnego etapu drogi, po czym pospiesznie zaczyna kolejny. Modestyna i ja ruszyliśmy wzdłuż Allier; zaprowadziła nas z powrotem do Gévaudan w kierunku swoich źródeł w lesie Mercoire. Kiedy porzucaliśmy jej przewodnictwo, zamieniała się już w malutki strumyk. Stąd, ponad wzgórzem, nasza droga wiodła przez jałowy płaskowyż, aż o zachodzie słońca wyłoniliśmy się w Chasseradès.

Wszyscy mężczyźni, którzy tej nocy zebrali się w kuchni oberży pracowali przy pomiarach jednej z projektowanych linii kolejowych. Byli inteligentni i komunikatywni; nad gorącym winem decydowaliśmy o przyszłości Francji, dopóki dźwięk zegara nie spłoszył nas do łóżek. W pokoiku na piętrze stały cztery prycze, nas było sześciu. Dostałem dla siebie całe legowisko i przekonałem pozostałych, żeby zostawili otwarte okno.

„Hé, bourgeois; il est cinq heures!”⁴⁶ – tak brzmiał okrzyk, który obudził mnie rano (sobo-

⁴⁶ Z franc. “Ty, burżuju, już piąta!”

ta, 28 września). Pokój wypełniała przezroczysta ciemność, niewyraźnie demaskująca pozostałe trzy łóżka i pięć różnych czapek nocnych na poduszkach. Za oknem świt rumienił się długim pasem ponad szpicami wzgórz i dzień miał zaraz rozlać się na płaskowyż. Inspirująca godzina; w powietrzu unosiła się obietnica przychylnej pogody, doskonale zresztą spełniona. Wkrótce wyruszyliśmy. Droga ciągnęła się płaskowyżem, potem schodziła przez urwistą wioskę do doliny Chassezac. Wśród zielonych łąk płynął strumień, zgrabnie ukryty za spadzistymi brzegami; kwitł żarnowiec, a tu i tam nad wioskami unosił się dym.

W końcu ścieżka przecięła Chassezac na moście i porzucając głęboki uskok skierowała się ku wzniesieniu w La Goulet. Wędrowała przez Lestampes wśród wyżynnych pól i bukowo-brzozowych lasów, z każdym zakrętem przynosiła zaskoczenie jakimś nowym zjawiskiem. Nawet w wąwozie Chassezac do moich uszu docierał dźwięk podobny do głosu mosiężnego dzwonka, dochodzący z odległości wielu mil, ale w miarę jak się do niego zbliżałem zdawał się zmieniać natężenie i w końcu odkryłem, że to pasterz wyprowadzający stado akompaniował sobie melodią wiejskiego rogu. Wąską ulicę Lestampes zatłoczyły owce – czarne i białowłose beczały chórem, zgodne jak ptaki na wiosnę, potrząsając dzwoneczkami zawieszonymi na szyi. Patetyczny benefis z potrójną orkiestrą. Nieco wyżej minąłem dwóch mężczyzn siedzących na drzewie z nożycami do przycinania gałęzi; jeden z nich śpiewał pieśń *burrée*⁴⁷. Trochę dalej, kiedy przechodziłem przez

⁴⁷ Muzyczna forma taneczna oparta na tańcu bourree, zwykle w formie pieśni, w tempie szybkim.

brzeziny, usłyszałem rozochoczone pianie kogutów, a razem z nim głos fletu wygrywający tęskne, melancholijne powietrze jednej z górskich wiosek. Wyobraziłem sobie siwowłosego, wiejskiego belfra o jabłkowatych policzkach, grającego w swoim malutkim warzywniaku w jasnym, jesiennym słońcu. Nakładające się, intrygujące tony wypełniły moje serce wyjątkowym oczekiwaniem; odniosłem wrażenie, że po zdobyciu góry zejdę prosto do Rajskiego Ogrodu. Nie pomyliłem się – skończyły się deszcze, wiatr i ponura kraina. Tutaj miała swój kres pierwsza część mojej eskapady; słodkie dźwięki mieszały się z innymi, jeszcze słodszyymi echami.

Poza karą śmierci istnieją jeszcze inne, absurdalne rodzaje pokuty; teraz dobry humor prowadził mnie ku przygodzie, którą opowiadałam w interesie przyszłych poganiaczy osłów. Droga na zboczu wiała się tak szerokim zygzakiem, że przy pomocy mapy i kompasu postanowiłem poszukać skrótu, po czym przedarłem się przez niski las, aby ponownie wejść na drogę na wyższym poziomie. W ten sposób sprowokowałem mój jedyny poważny konflikt z Modestyną. Nie miała zamiaru trzymać się moich uproszczeń; odwróciła się do mnie pyskiem, cofnęła i stanęła dęba; oślica, którą dotychczas miałem za głupią, zaryczała głośnie, ochryplą fanfarą, jak kogut piejący o świcie! Jedną ręką dźgnąłem ją ościeniem, drugą, bo tak strome było zejście, trzymałem się siodła. Pół tuzina razy prawie lądowała mi na plecach; pół tuzina razy, bliski utraty nadziei, prawie się poddawałem i prowadziłem ją ponownie na szerszą drogę. Ale potraktowałem bój jak zakład i wygrałem go. Zaskoczyły mnie chłodne krople deszczu spadające na moją dłoń i zdumiony

patrzyłem w bezchmurne niebo. Nie, to tylko pot ściekał mi z czoła.

Za szczytem Goulet skończyła się oznakowana droga – stały tu jedynie pionowe kamienie dla poganiaczy, ustawione w równych odległościach. Pod stopami ścielił się sprężysty i nasączony aromatami dywan roślin. Nie miałem żadnego towarzystwa oprócz skowronka lub dwóch, a między Lestampes i Bleymard spotkałem jeden wóz zaprzęgnięty w woły. Przed sobą zobaczyłem płytką dolinę, a dalej pasmo Lozère, słabo zalesione i wyraźnie ukształtowane na stokach, ale szare i monotonne w zarysie. Żadnych oznak cywilizacji – w pobliżu Bleymard główna droga z Villefort do Mende rozcinała białą łąki porośnięte bujnymi topolami i odzywające się dzwoneczkami stad i trzody.

II. Noc wśród sosen

Po obiedzie, chociaż zrobiło się późno, postanowiłem wyruszyć z Bleynard i powędrować po Lozère. Prowadziła mnie źle oznakowana, kamienista droga dla bydła; minąłem prawie pół tuzina wozów zaprzężonych w woły; wyjeżdżały z lasu, a każdy z nich wiózł opał na zimę. Na szczycie lasów, które nie wspinają się zbyt wysoko po tej zimnej grani, odbilem w lewo ścieżką wśród sosen, aż trafiłem na dolinę wyłożoną zielonym trawnikiem korzeni, gdzie między kamieniami wyrwał się mały strumyk, służący mi za kran. „W cienistszem schronisku, ni świętszym niż to, ni bardziej zacisznym, nie sypiał nigdy, opiewany w Bajce, Pan, ani Sylwan, Nimfy albo Fauny”⁴⁸. Drzewa nie wyglądały na wiekowe, chociaż gęsto ogradzały polanę: panorama, z wyjątkiem północno-wschodniej strony wychodzącej na odległe wierchy i niebo, zupełnie się zamknęła, a moje obozowisko przypominało przytulny, prywatny alkierz. Zanim poczyniłem przygotowania i nakarmiłem Modestynę, dzień zaczynał gasnąć. Zapiąłem się w ściworze do kolan i przyrządziłem obfity posiłek, a gdy zaszło słońce, naciągnąłem czapkę na oczy i zasnąłem.

Pod dachami domów noc jest martwą, monotonną porą, lecz pod gołym niebem przechodzi z lekkością, sunąc razem z galaktykami, rosą i zapachami, aby zmienić wygląd ziemi. To, co ludziom duszącym się za ścianami i parawanami przypomina doczesną

⁴⁸ *Raj utracony* Johna Milтона. Pieśń IV. Tłum. Władysław Bartkiewicz.

śmierć, jest subtelny, klarowny snem dla człowieka, który śpi na zewnątrz. Przez całą noc słyszy swobodny, głęboki oddech Matki Ziemi; słyszy, jak odpoczywając, przyroda odwraca się z boku na bok i rozdaje uśmiechy; jest taka godzina poruszenia, nieznana tym, którzy śpią w domach, gdy czuwająca wola nadpływa nad uśpioną półkulę, a cały zewnętrzny świat powoli staje na nogi. Wtedy pieje pierwszy kogut, wcale nie po to, by ogłosić nowy dzień, ale jak wesoły stróż popędzający noc. Bydło budzi się na łąkach, owce łamią swój post na zroszonych zboczach i przechodzą na nowe legowiska wśród paproci, zaś tułacze, którzy położyli się z ptactwem, otwierają zamglone oczy i podziwiają majestat nocy.

Na jakie niesłyszalne wezwanie, przy jakim delikatnym dotknięciu natury wszyscy śpiący zostają nagle wezwani o tej samej godzinie ziemskiej wędrówki? Czy powodują nami gwiazdy, czy też łączą nas dreszcz emocji związany z obecnością matki ziemi tuż pod naszymi łapiącymi oddech ciałami? Nawet pasterze i starzy wieśniacy, najlepiej obeznani w tajemnych arkanach, nie domyślają się przyczyn ani celów nocnych zmartwychwstań. Około drugiej w nocy ogłaszają, że to znów się dzieje i nic więcej nie wiedzą i o nic nie dopytują. Ale przynajmniej jest to rozkoszny epizod. Przerywamy swój sen, niczym wygodnicki Montaigne, tylko po to, „iżby zażywać rozkoszy snu ze świadomością”⁴⁹. Dlatego mamy ledwie chwilę, żeby spojrzeć na gwiazdy. Niektórym umysłem szczególną przyjemność sprawia refleksja, że dzielimy tę chwilę z wszelkimi istotami

⁴⁹ *Próby* Michela de Montaigne’a. Rozdział XIII. O doświadczeniu. Tłum. T. Boy-Żeleński.

żyjącymi w naszym sąsiedztwie, że uciekliśmy z Ba-stylii cywilizacji i na jakiś czas staliśmy się owcą ze stada natury.

Gdy nastąpiła ta godzina, obudziłem się spragniony. Manierka stała obok śpiwora do połowy pełna wody. Opróżniłem ją jednym haustem i czując się rozbudzony po tej lodowatej uczcie, usiadłem i zapaliłem papierosa. Czyste gwiazdy przypominały kolorowe klejnoty, chociaż nie były tak chłodne jak kamienie. Drogę Mleczną owijała słaba srebrzysta poświata. Wokół mnie czarne iglice jodeł stały prosto i nieruchomo. Po bieli siodła mogłem rozpoznać Modestynę kroczącą w kółko na całej długości postronka. Słyszałem jak nieustannie przeżuwa darń, poza tym nie dochodził do mnie żaden dźwięk, z wyjątkiem trudnej do opisanego, szeptanej gadaniny, jaką struga rzeki prowadziła z kamieniami. Wyciągnięty w śpiworze leniwie pociągałem papierosa, śledząc wzrokiem kolor nieba (jak nazywamy tę pustą przestrzeń) od miejsca, z którego za sosnami wypływał czerwono-szary pigment, do strefy, gdzie między gwiazdozbiorami niebo pokazywało swój błyszczący, niebieski grzbiet. Na palcu nosiłem srebrny pierścionek, chyba tylko po to, by jeszcze bardziej przypominać domokrążcę. Gdy unosiłem i opuszczałem dłoń, widziałem jego słabe światło i przy każdym zaciągnięciu papierosem wewnątrz mojej dłoni na sekundę stawało się najjaśniejszym punktem krajobrazu.

Od czasu do czasu nad polaną kołował słaby wiatr, przypominający raczej wir chłodu niż strumień powietrza, więc nawet w mojej wielkiej komnacie powietrze cyrkulowało przez całą noc. Z trwogą myślałem o gospodzie w Chasseradès

i wiszących w niej nocnych czapkach; z grozą przypominałem sobie o nocnych potach urzędników i studentów, dusznych teatrach, przepustkach i zamkniętych pokojach. Tak rzadko w równym stopniu cieszyłem się byciem z samym sobą, tak rzadko czułem się równie niezależny od potrzeb materialnych. Świat zewnętrzny, przed którym kulimy się w swoich domach, wydał mi się przytulnym miejscem do zamieszkania; noc po nocy miejsce do spania czekało na mnie na polach, gdzie Bóg prowadzi otwarty pensjonat. Uświadomiłem sobie, że zgłębiam na nowo jedną z prawd objawionych dzikim i ukrytych przed ekonomistami, a przynajmniej odkryłem dla siebie nową uciechę. A jednak, chociaż cieszyłem się swoją samotnością, zdawałem sobie sprawę z dziwnego braku. Pragnąłem, by ktoś leżał obok mnie w świetle księżyca, milczący i nieruchomy, dotykający mojego boku. Istnieje bowiem wspólnota bardziej zaciszna niż samotność, która, dobrze rozumiana, jest samotnością udoskonaloną. Koczować pod gołym niebem z kochaną przez siebie osobą jest najbardziej kompletnym i wolnym sposobem istnienia.

Gdy kołysałem się między sytością a tęsknotą, przez sosny wtargnął do mnie niewyraźny dźwięk. Na początku sądziłem, że to pianie kogutów lub szczekanie psów na jakiejś odległej farmie; odgłos stopniowo narastał, aż w końcu odgadłem, że to ktoś snujący się główną drogą umilał sobie spacer. W jego przyśpiewce brzmiało więcej dobrej woli niż łaski, ale śpiewał beztrosko i z całych sił, a barwa jego głosu odbijała się od zbocza, aż powietrze drżało w liściastych dolinach. Słyszałem górali krążących nocą po uśpionych miastach:

paru z nich nuciło piosenki, jeden, pamiętam, grał głośno na dudach. Po godzinach absolutnej ciszy nagle przez kilka minut słyszałem podskakującą i terkoczącą bryczkę lub powóz. Jest coś fantastycznego w lunarnych stworzeniach, które krzątają się pod gołym niebem w czarnych godzinach i których interesy próbujemy odgadnąć z dreszczykiem emocji. Magia sceny podwoiła się: niefrasobliwy przechodzień, oświecony od środka winem, wysyłający w noc swoją muzykę i ja – zapięty w swoim śpiworze, zaciągający się papierosem w sosnowym lesie między czterema a pięcioma tysiącami stóp w kierunku gwiazd.

Kiedy się obudziłem (niedziela, 29 września), wiele z nich już poznikało; silniejsi towarzysze nocy wciąż wyraźnie świecili nad moją głową; na wschodzie ujrzałem na horyzoncie słabą mgiełkę poświaty, wyglądała jak Droga Mleczna oglądana przeze mnie przed zaśnięciem. Zbliżał się dzień. Zapaliłem latarnię i przy jej świętojańskim, ciepłym świetle założyłem buty i getry. Potem pokruszyłem trochę chleba dla Modestyny, napełniłem manierkę wodą ze strumyka i zapaliłem lampę spirytusową, żeby ugotować sobie czekoladę. Błękitna ciemność, która przyniosła mi najśłodszy sen, długo leżała na polanie. Wkrótce na szczytach Vivarais pojawiła się szeroka, pomarańczowa smuga, przetapiająca się w złoto. Ogarnęła mnie podniosła radość z powodu tego stopniowego i cudownego nadejścia dnia. Ucieszony przysłuchiwałem się strumykowi i rozglądałem za czymś zjawiskowym i nieoczekiwanym – czarne sosny, pusta polana i przeżuwiająca oślica nie zmieniły się ani odrobinę. Oprócz jasności, obdarzającej sąsiedztwo technieniem energii

i pokoju, wprowadzającej mnie w osobliwą radość, moje otoczenie pozostało takie samo.

Wypiłem czekoladę robioną na wodzie, odpowiednio ciepłą, nawet jeśli niezbyt pożywną, po czym spacerowałem w górę i w dół polany. Kiedy tak się ociągałem, ze źródła poranka buchnął silny wiatr, długi jak ciężkie westchnienie. Zrobiło się zimno i zacząłem kichać. Pobliskie drzewa rzucały w przejście czarnymi piórami; wzdłuż krawędzi wzgórza mogłem zobaczyć cienkie, odległe iglice sosnowe, chwiejące się lekko na tle złotego wschodu. Dziesięć minut później słońce przebiegło cwałem po zboczu wzgórza, rozrzucając iskry i blaski, dzień nadszedł w całej swojej okazałości.

Zerwałem się na nogi, aby jak najszybciej przygotować plecak i pokonać strome podejście, ale jedna myśl nie dawała mi spokoju. To była błaha zachcianka, ale zachcianki bywają nieraz natarczywe. W moim zielonym karawanseraju zostałem gościnnie przyjęty oraz punktualnie obsłużony. Dostałem przestronny gabinet, wyborną wodę, świat obudził mnie co do minuty. Nie mówię nawet o gobelinach i zapierającym dech suficie, ani o widoku, jaki roztaczał się z moich okien. Czułem, że jestem komuś winien za tę hojną gościnę. Więc z podnieceniem, chichocząc, rozłożyłem na darni kilka monet, zostawiając dla siebie tylko tyle, ile potrzebowiałem, aby zapłacić za nocleg. Mam nadzieję, że nie wpadły w ręce jakiegoś majętnego, zuchwałego poganiacza osłów.

Kraj Kamizardów

Chcieliśmy podróżować śladami dawnych wojen,
A zastaliśmy zieloną ziemię,
I znaleźliśmy miłość i pokój,
Gdzie rządziły wojna i ogień.
Dzieci miecza przechodzą w uśmiechu,
Już nie dzierżą broni w swoich dłoniach,
A wzdłuż pola bitwy stoi ona –
Wysoka i dojrzała kukurydza.
W. P. Bannatyne¹

¹ Wiersz Stevensona opublikowany w *Underwoods* (1887).
W.P. Bannatyne to pseudonim autora.

I. Wzdłuż Lozère

Wkrótce zniknął szlak, którym podążałem wieczorem i dalej szedłem po bezleśnej murawie, okalającej rzędy kamiennych filarów, takich, jakie prowadziły mnie przez Goulet. Zrobiło się ciepło. Przywiązałem płaszcz do plecaka i zostałem w samej dzianinowej kamizelce. Modestyna, w świetnym nastroju, po raz pierwszy z własnej woli pognęła trzęsącym klusem, od którego owies podskakiwał w kieszeni płaszcza. Z każdym krokiem powiększał się widok na zostawiony za plecami północny Gévaudan: prawie żadnych drzew, niewiele domów na połaciach dzikiego wzgórza, biegnącego na północ, wschód i zachód, niebieskiego i złotego w mgle i porannym słońcu. Wokół mojej ścieżki szybowało i ćwierkało mnóstwo malutkich ptaków; przysiadły na filarach, dziobały i kroczyły po wykładzinie z roślin; widziałem, jak krążyły w sieciach błękitnego powietrza i od czasu do czasu odsłaniały woskowe, migotliwe skrzydła zawieszone między słońcem a moim ciałem.

Niemal od początku marszu moje uszy wypełnił szumiący, dudniący hałas, przypominający odgłos przybrzeżnych fal. Raz wyobrażałem sobie, że to dźwięk pobliskiego wodospadu, innym razem, że to melodia całkowitej ciszy wzgórza. Ale w miarę jak posuwałem się naprzód, szum narastał i przywoływał na myśl syk ogromnego imbryka na herbatę; jednocześnie od strony szczytu zaczęły docierać do mnie oddechy chłodnego powietrza. W końcu rozwiązałem zagadkę. Wiatr z południa napierał na zbocze Lozère, a ja zbliżałem się do miejsca kolizji.

Chociaż czekałem na tą chwilę od wielu godzin, moje oczy spokojnie uniosły się ponad szczyt. Zrobiłem krok, który nie wydawał się bardziej decydujący od innych kroków, „jak zuchwalec Cortez na wysokim wzgórzu panamskiego przesmyku”⁵⁰, a przecież wziąłem w posiadanie zupełnie nowy fragment świata. Bo oto zamiast bujnego wału darni, jaki przemierzałem od dłuższego czasu, przede mną rozpościerał się widok na przymglone niebo, zaś pod moimi stopami leżała kraina krętych, niebieskich kopców.

Góra Lozère biegnie na zachód i na wschód, dzieląc Gévaudan na dwie nierówne części; jej najwyższy punkt, Pic de Finiels, gdzie właśnie stałem, wznosi się na wysokość pięciu tysięcy sześciuset stóp nad poziomem morza i przy słonecznej pogodzie rozciąga się z niego widok na całą dolną Langwedocję aż po Morze Śródziemne. Rozmawiałem z ludźmi, którzy albo udawali albo wierzyli, że z najwyższego punktu Lozère widzieli białe statki pływające przy wybrzeżu Montpellier i Cette. Za mną została wyżyna, północna ziemia, przez którą biegła przebyta przez nas droga – ziemia zaludniona przez ośpałych ludzi, pozbawiona drzew i dominujących wzniesień, słynąca jedynie z wilka grasującego tutaj w przeszłości. Przede mną, na wpół spowity słoneczną mgłą, leżał nowy Gévaudan, bogaty, malowniczy, słynny z pasjonującej przeszłości. Moja odyseja seweńska zaczęła się już w Le Monastier, ale jedynie pogmatwany, zarośnięty kraj leżący teraz u moich stóp miał pełne prawo do swojej nazwy, przez Sewenny chłopi od zawsze rozumieli właśnie to terytorium. Sewenny z pokreśleniem: Sewenny Sewennów.

⁵⁰ *Na pierwsze zapoznanie się z Homerem w przekładzie Chapmana Johna Keatsa (1816). Tłum. własne.*

W tym niemożliwym do odczytania pandemonium wzgórz przez dwa lata szalała wojna bandytów i dzikich bestii, konflikt między Wielkim Monarchą⁵¹, jego żołnierzami i marszałkami a kilkoma tysiącami protestanckich górali. Sto osiemdziesiąt lat temu kamizardzi mieli swój rewir nawet na Lozère: własną strukturę, arsenały, hierarchię wojskową i religijną; ich sprawami żyła każda kawiarnia w Londynie, Anglia słała im wspierające floty, ich przywódcy prorokowali i mordowali, ich orkiestry czasami kpiły ze światła dziennego, ubrane w jaskrawe kolory, z bębnami w rękach oraz śpiewem pradawnych, francuskich psalmów na ustach, maszerowały pod murami miast i rozpędzały generałów króla; bywało, że w nocy lub pod przebraniem zdobywały potężne zamki i mściły się za zdradę na sojusznikach i za okrucieństwo na wrogach. Tuż sto osiemdziesiąt lat temu żył rycerski Roland, „Hrabia i Lord, *generalissimus* francuskich protestantów”⁵², poważny, skryty, władczy, były dragon z twarzą poprzecinaną bliznami po ospie, za którym ruszyła pewna zakochana dama. Tu bywał Cavalier, czeladnik piekarza obdarzony geniuszem wojennym, jako siedemnastolatek mianowany brygadierem kamizardów, zmarły w wieku pięćdziesięciu pięciu lat jako angielski gubernator Jersey. A także Castanet, przywódca partyzantów w ogromnej peruce⁵³, z zamiłowaniem do kontrowersyjnej bo-

⁵¹ Ludwik XIV - król Francji w latach 1643-1715 z dynastii Burbonów. Zwany „Królem Słońce”.

⁵² Z *Pasterzy pustyni* (Les Pasteurs du Désert, 1842) Napoléona Peyrata.

⁵³ André (Henri) Castanet, przywódca kamizardów, schwytany i stracony w 1705 roku; pochodził z górskiej wioski Massevaques.

skości. Generałowie nie z tego świata, w wojennym potrzasku konsultujący się z Panem Zastępów, uciekający lub wyzywający na pojedynek, śpiący w niestrzeżonych obozach, gdyż sam Duch Święty szeptał im do ucha! Nie mówiąc już o podążającym za nimi szeregu proroków i uczniów, odważnych, upartych, niestrudzonych i wytrwałych w bieganiu po górach, opiewających psalmami brutalność życia, chętnych do walki i skorych do modlitwy, słuchających przepowiedni dzieci z uszkodzonymi mózgami i wkładających między cynowe kule do muszkietów ziarenka pszenicy.

Dotychczas wałęsałem się rewirami pozbawionymi pamięci i nie szedłem po śladach niczego godniejszego uwagi niż pożerająca dzieci bestia z Gévaudan, Napoleon wśród wilków. Teraz miałem zejść ku scenie z romantycznego rozdziału, albo lepiej: romantycznego przypisu w dziejach ludzkości. Co zostało z jej dawnego ducha i heroizmu? Ponoć w siedzibie hugenockiego oporu wciąż szerzył się protestantyzm; wyznał mi to sam ksiądz w parlatorium⁵⁴. Jeszcze nie miałem okazji się przekonać, czy była to wyłącznie pusta tradycja, czy raczej niekłamana, autentyczna wiara. Jeśli mieszkańcy północnych Sewennów są ograniczeni w swoich przekonaniach religijnych i przepełnieni raczej gorliwością aniżeli miłością, to czego mogłem się spodziewać po ziemi prześladowań i odwetów – po krainie, gdzie tyrania Kościoła wywołała rewolucję kamizardów, a terror rebeliantów przeciągnął katolickie chłopstwo na stronę legalnego buntu,

⁵⁴ Pomieszczenie w klasztorze przeznaczone do prowadzenia rozmów z osobami z zewnątrz, zwłaszcza świeckimi.

przez co kamizardzi i florentyni wzajemnie czyhali na swoje życie?⁵⁵

Tuż na szczycie wzgórza, gdzie zatrzymałem się, by spojrzeć przed siebie, ciąg filarów nagle się urywał; trochę niżej pojawiła się ścieżka, która opadała w dół zawrotnie stromego zbocza, obracając się jak korkociąg. Prowadziła w dolinę między spadającymi zboczami, pełną kamieni i przypominającą zebrane pole kukurydzy, a dalej zlatywała wśród zielonych łąk. Schodziłem nią beztrasko; pochyłe zbocze, niekończąca się serpentyna linii zejścia i uparta, niestrudzona nadzieja znalezienia czegoś nowego w nowym miejscu sprzysięgły się, by dodać mi skrzydeł. Niżej zaczynał się strumień czerpiący z wielu źródeł, wydający figlarny pomruk wśród wzniesień. Czasami przecinał szlak małym wodospadem z sadzawką, w której Modestyna odświeżała kopyta.

Całe zejście było jak sen, tak szybko się skończyło. Ledwie opuściłem szczyt, a już dolina zamknęła się wokół mojej ścieżki i gdy brnąłem w nieruchomej, nizinnej atmosferze, słońce uderzało prosto w moje ciało. Ścieżka zamieniła się w drogę i prowadziła w górę i w dół delikatnymi falami. Mijałem chaty wyglądające na opuszczone; nie widziałem żywego ducha ani nie słyszałem żadnego dźwięku oprócz szumu potoku. Trafiłem do innej krainy niż ta goszcząca mnie poprzedniego dnia – na kamienny szkielec świata z rozmachem wystawiony na słońce i powietrze. Zbocza były tu strome i nieregularne.

⁵⁵ Florentyni pochodzili z terenów dzisiejszego Saint-Florent-sur-Auzonnet; powołali katolicką milicję z miejscowej ludności, aby pomóc rojalistom w obronie przed najeżdżającymi kamizardami.

Wzdłuż wzniesień pięły się rozłożyste dęby, bogate w liście i dotknięte przez jesień mocnymi, świetlistymi barwami. Po śnieżnobiałych, chaotycznie rozrzuconych głazach kaskady spadały raz z prawej, raz z lewej strony. Potok tworzący się na dnie doliny, w szybkim biegu zbierający płyn w rozlicznych żyłach, raz pienił się w zacieklých kataraktach, raz rozlewał kałużą urzekającej morskiej zieleni barwionej wodnistymi brązami. Nigdy nie widziałem ruczaju o tak różnorodnym i delikatnym odcieniu; był nie mniej przejrzysty od kryształu, zieleńszy od pobliskich łąk i przy każdym mijanym rozlewisku przebiegał mnie dreszcz tęsknoty, żeby wydostać się z gorących, zakurzonych ubrań i wykapać nagie ciało w górskiej wodzie i górskim powietrzu. Podczas marszu nie zapomniałem o trwającej niedzieli, cisza była moim wiecznym przypomnieniem; w duchu słyszałem dzwony kościelne bijące w całej Europie i suplikacje tysięcy kościołów.

W końcu z głuszy wyrwał mnie ludzki głos – krzyk błazeńsko rozpięty między patosem a szyderstwem; rozejrzałem się po dolinie i zobaczyłem małego urwisa siedzącego na łące z rękami na kolanach, który z daleka wydawał się być komicznie mały. Mały łotr zaczął się na mnie, gdy prowadząc Modestynę schodziłem drogą między dębami, aby drżącym, wysokim pozdrowieniem przekazać mi życzenia z nieznanej krainy. A ponieważ w górach z dostatecznej odległości wszystkie odgłosy sprawiają wrażenie naturalnych i pełnych wirtuozerii, to również ten, płynąc z czystym powietrzem gór i przecinając całą grynszpanową dolinę, brzęczał wytwornie w moim uchu i stawał się częścią krajobrazu, jak dęby czy rzeka.

Niedługo potem strumień, wzdłuż którego podążałem, wpadał do rzeki Tarn w miejscowości Pont de Montvert, znanej ze swojej krwawej przeszłości.

II. Pont de Montvert

Jednym z pierwszych miejsc mijanych przeze mnie w Pont de Montvert była, jeśli dobrze pamiętam, świątynia protestancka. Ale miejscowość skrywała znacznie więcej niespodzianek. Miasto angielskie odróżnia od miasta francuskiego, a nawet szkockiego delikatnie wyczuwalna, charakterystyczna atmosfera. Nie pomylisz Carlisle z żadnym innym miejscem, a w Dumfries, trzydzieści mil dalej, w mig rozpoznasz, że jesteś gdzieś indziej. Nie umiałbym szczegółowo wyjaśnić, pod jakimi względami Pont de Montvert różnił się od Le Monastier, Langogne, a nawet Bleymard, ale różnica istniała i rzucała się w oczy. To miejsce – chaty, uliczki, jaskrawe dno rzeki – nosiło nieopisany klimat Południa.

Podczas gdy wśród gór panował szabatowy bezruch, uliczki i tawerny wypełniał niedzielny zgiełk. O jedenastej przed południem musiało nas być w gospodzie około dwudziestu osób, a kiedy zjadłem, napiłem się i zacząłem pisać swój dziennik, zaczęło dosiadać się do mnie coraz więcej tubylców, jeden po drugim lub po dwóch lub trzech. Przekraczając Lozère nie tylko znalazłem się wśród odmiennych krajobrazów, ale również zawędrowałem do miejsca zamieszkanego przez inny gatunek człowieka. Ci ludzie, w pośpiechu zjadając posiłek przy użyciu skomplikowanej szermierki sztućców, wypytywali mnie o tysiące rzeczy i odpowiadali z poziomem inteligencji, przewyższającym resztę moich towarzyszy podróży, może jedynie z wyjątkiem kolejarzy w Chasseradès. Mieli przytomne,

wyraziste twarze i ożywiony sposób bycia i mówienia. Starali się głęboko wniknąć w ducha mojej małej wyprawy, a kilku z nich nawet oświadczyło, że gdyby posiadali wystarczającą ilość pieniędzy, chętnie ruszyliby w podobną drogę.

Zaobserwowałem również pozytywną, fizyczną metamorfozę. Odkąd opuściłem Le Monastier nie spotkałem żadnej ładnej kobiety, a i tam widziałem co najwyżej jedną. Teraz, spośród trzech kobiet siedzących ze mną przy obiedzie, jedna z pewnością nie została obdarzona urodą – biedna, nieśmiała czterdziestolatka, mocno zmartwiona przy tym huczącym *table d'hôte*⁵⁶, którą częstowałem winem i za której zdrowie wznosiłem toast, próbując z marnym skutkiem zachęcić ją do świętowania – ale piękno pozostałych dwóch dam, mężatek, było ponadprzeciętne. A Clarisse? Cóż mam napisać o Clarisse? Obsługiwała stoły z ociężałą, dobrotliwą nonszalancją, jak grająca na scenie krowa; jej wielkie szare oczy pogrążyły się w kochliwym znużeniu; jej kształty, choć obfite, miały oryginalny i staranny wzór; jej usta lekko się wykrzywiały, a linia nosa świadczyła o delikatnej dumie; jej policzki układały się w osobliwe, zajmujące kontury. Była to twarz zdolna do silnych emocji, na której dałoby się wyrzeźbić delikatniejsze rysy. Z żalem patrzyłem na tak czarowną postać skazaną na miłośników wsi i wiejski sposób myślenia. Ukryta perfekcja powinna wyjść do świata, zrzucić spoczywający na niej ciężar, uświadomić sobie siebie, nabrać szyku, nauczyć się eleganckiego chodu i noszenia głowy, a następnie przeobrazić

⁵⁶ Niezmienne menu z posiłkami o stałej cenie.

w *patet dea*⁵⁷. Zanim opuściłem gospodę, zapewniłem Clarissę o moim serdecznym podziwieniu. Komplement przyjęła jak mleko, bez zażenowania i zdziwienia, po prostu patrząc na mnie bez emocji swoimi wielkimi oczami; przyznając, że w rezultacie zmieszałem się. Gdyby Clarisse umiała czytać po angielsku, nie śmiałbym dodać, że jej figura nie wyglądała tak dobrze jak jej oblicze. Sylwetka dziewczyny wołała o gorset, ale z upływem lat to jeszcze może się zmienić.

Pont de Montvert, czyli Zielone Wzgórze, jak powiedzielibyśmy w domu, stanowił ważne miejsce w historii kamizardów. To tutaj wybuchła wojna, to tutaj południowi kowenanci zgładzili swojego arcybiskupa Sharpa⁵⁸. W naszych współczesnych, beznamiętnych czasach, przy naszych łatwych wierzeniach i niewiarach, prześladowania kamizardów i ich rewolucyjny ferwor niemalże wymykają się pojmowaniu. Wszyscy hugenoci, bez wyjątku, z niepojętą gorliwością i smutkiem porzucili zdrowe zmysły. Wszyscy byli prorokami i prorokiniami. Nawet dzieci przy piersi zachęcały rodziców do dobrych uczynków: „W Quissac piętnastomiesięczne, rozgniewane, szlochające dziecko przemówiło z ramion matki wyraźnym i donośnym głosem”. Marszałek Villars trafił

⁵⁷ „Boginię krok sam wydał” („et vera incessu patuit dea”): Wergiliusz, *Eneida*. Tłum. Tadeusz Karyłowski.

⁵⁸ James Sharp (1613-1679), arcybiskup Saint Andrews w Szkocji; próbował ponownie wprowadzić biskupów i arcybiskupów do Kościoła Szkockiego; zamordowany przez kowenantów (*covenanters*), członków XVII-wiecznego szkockiego ruchu religijnego i politycznego, popierającego prezbiteriański Kościół Szkocji. Stevenson nazywał kamizardów „południowymi kowenantami”.

do miasta⁵⁹, gdzie wszystkie kobiety „zachowywały się jak opętane przez diabła”, dostawały ataków drżenia i publicznie głosiły prorocтва. W Montpellier powieszono prorokinię z Vivarais, ponieważ z jej oczu i nosa płynęła krew; twierdziła, że płacze krwawymi łzami z powodu nieszczęść hugenotów. To szaleństwo dotyczyło nie tylko kobiet i dzieci. Krzepcy, groźni chłopci, nawykli do machania sierpem i dźwigania leśnej siekiery, również dostawali nadprzyrodzonych histerii i wypowiadali prorocтва zanosząc się łzami. Represje, których przemoc nie ma sobie równych, trwały blisko dwadzieścia lat i oto co przyniosły: wieszanie, palenie, łamanie na kole poszły na marne – dragoni w całej okolicy zostawili po sobie ślady kopyt, mężczyźni wiosłowali na galerach, a kobiety cierpiały w kościelnych kazamatach, lecz ani jedna myśl nie uległa zmianie w sercu ani jednego protestanta.

François de Langlade du Chayla (wymawiaj: szejla), Arcykapłan Sewennów i Inspektor Misji w tym regionie, stojący na czele prześladowań (tuż po Lamoignonie de Bâville'u⁶⁰), miał w Pont de Montvert apartament, w którym czasami pomieszkiwał. Był obowiązkowym zwierzchnikiem, wyposażonym przez naturę w cechy pirata i skończył właśnie pięćdziesiąt pięć lat, czyli osiągnął wiek, w którym człowiek zwykle nauczył się całego umiaru, do jakiego jest zdolny. W młodości, przebywając jako

⁵⁹ Claude-Louis-Hector de Villars (1653-1732) objął dowództwo nad wojną przeciwko kamizardom po porażce dwóch poprzedników; w końcu pokonał kalwinów i zaofiarował Cavalierowi warunki kapitulacji.

⁶⁰ Lamoignon de Bâville (1648-1724), wybitny prawnik i gubernator Langwedocji, prowadził prześladowania kamizardów przed wojną i w jej trakcie.

misjonarz w Chinach, został porzucony na pewną śmierć i dostąpił męczeństwa; od śmierci uratowała go łaska spotkanego pariasa. Musimy założyć, że w swoim akcie miłosierdzia pariasowi po prostu zabrakło umiejętności przewidywania i nie kierował się celową złośliwością. Mogłoby się wydawać, że takie doświadczenie powinno wyleczyć człowieka z chęci zadawania gwałtu, ale dusza ludzka to kuriozalnie złożona materia; z chrześcijańskiego męczennika Du Chayla stał się chrześcijańskim prześladowcą. Dzieło Szerzenia Wiary dosłownie paliło mu się w rękach. Apartament w Pont de Montvert służył mu za więzienie. Tam dociskał dłonie więźniów do rozpalonego węgla i wyrwał im włosy z bród, przekonując, że popełnili śmiertelny błąd. A przecież czy nie on sam udowodnił nieskuteczność tych argumentów, gdy szerzył wiarę wśród buddystów w Chinach?

Życie w Langwedocji stało się nie do zniesienia, a ucieczka została surowo zakazana. Massip, poganacz mułów, dobrze zaznajomiony z kłębowiskiem górskich dróg, zdążył jeszcze poprowadzić do Genewy kilka oddziałów uciekinierów. Gdy przedzierał się z kolejnym konwojem, składającym się głównie z kobiet przebranych za mężczyzn, Du Chayla, w złej godzinie, dokonał na nim wendety. W następną niedzielę w lesie Altefage na górze Bougès odbył się konwent hugenotów; podczas narady szczególnie wyróżnił się pewien Séguier – Duch Séguier⁶¹, jak nazywali go towarzysze, wysoki, bezzębny gręplarz

⁶¹ Pierre Séguier, przywódca kamizardów z Magistavols, urodzony około 1650 roku i spalony żywcem w Pont-de-Montvert 12 sierpnia 1702 roku, w odwecie za zabójstwo opata Chayla.

o czarnej twarzy, kipiący od przepowiedni. Oświadczył w imię Wszechmocnego, że minął już czas niewoli i protestanci muszą chwycić za broń, aby wyzwolić swoich braci i zgładzić kapłanów.

Następnej nocy, 24 lipca 1702 roku, jakiś dźwięk zaniepokoił Inspektora Misji, gdy ten siedział w swoim prywatnym więzieniu w Pont de Montvert: głosy tłumu podniesione w psalmodii coraz szybciej zbliżały się przez miasto. Dochodziła dziesiąta w nocy; miał wokół siebie cały dwór, kapłanów, żołnierzy i służbę, w sumie około dwunastu lub piętnastu ludzi, lecz bojąc się zuchwalstwa przymerza nadciągającego w jego progi, nakazał swoim żołnierzom wydać ostrzeżenie.

Tymczasem psalmiści, pięćdziesięciu radykałów prowadzonych przez natchnionego Séguiera, dotarli już pod drzwi Du Chayla i tchnęli śmiercią. Na ich wezwanie arcykapłan zareagował jak opasły, podstarzały tyran i ustawił swój garnizon do ostrzału tłumu. Jeden kamizard (*camisade*, bo według części przekazów to właśnie od słowa oznaczającego *nocną napaść* wywodzi się ich nazwa) poległ, gdy otwarto ogień; jego towarzysze walili w drzwi toporami i drewnianą belą, zajęli dolną kondygnację domu, uwolnili więźniów i znalazłszy jednego z nich zalanego krwią i zakutego w kajdany Skeffingtona⁶², ze zdwojoną wściekłością rzucili się na Du Chayla, wielokrotnie usiłując opanować wyższe piętra. Ale Du Chayla z góry dał swoim ludziom rozgrzeszenie, a oni dzielnie bronili przejścia przez schody.

⁶² Narzędzie tortur nazywane także „bocianem” lub „córka śmieciarza”; jego wynalezienie przypisuje się sir Leonardowi Skeffingtonowi, naczelnikowi więzienia Tower z czasów Henryka VIII.

Tedy rzekł Eliasz: „Pochwytajcie proroki Baalowe, a żaden niechaj z nich nie uchodzi”⁶³.

Ogień szybko się rozprzestrzeniał. Du Chayla i jego poplecznicy na wiązanych prześcieradłach wymknęli się do ogrodu przez górne okno; kilku, pod ostrzałem powstańców, uciekło przez rzekę; sam arcykapłan upadł, złamał kość udową i zdołał jedynie wczółgać się w żywopłot. O czym myślał, gdy zbliżało się jego drugie męczeństwo? Żałosny, odważny, nienawistny krzewiciel, który zarówno w Sewennach, jak i w Chinach stanowczo, zgodnie z powołaniem, wypełniał swój obowiązek, wypowiedział na swoją obronę jedno wymowne zdanie. Kiedy dach zawalił się pod płomieniami i buchający ogień dosięgnął kryjówek Du Chayla, buntownicy, szalejąc z nienawiści i wyklinając go, zaciągnęli dostojnika na środek miasta. „Jeśli mam być potępiony”, wystękał, „dlaczego i wy skazujecie się na potępienie?”

Byłyby to przenikliwe ostatnie słowa, gdy nie fakt, że w trakcie swojej misji Du Chayla dał świadectwo przeciwnej postawie i to ona miała teraz obrócić się przeciwko niemu. Psalmiści, Séguier na przodzie, podchodzili do arcykapłana jeden po drugim i dźgali go nożami. „To za mojego ojca łamanego na kole”, mówili, „to za mojego brata na galerach”, „to za matkę, to za siostrę uwięzioną w waszych przeklętych klasztorach”. Każdy zadał swój cios i zdradził swój powód, a potem wszyscy uklękli i aż do świtu zanosili modły wokół ciała zamordowanego. O świcie, wciąż intonując, przedarli się w kierunku Fugères i dalej w górę Tarn, aby kontynuować dzieło zemsty, zostawiając katownię Du Chayla w ruinach, a jego ciało porzucone

⁶³ Księga Królewska 18:1. Biblia Brzeska.

w miejscu publicznym i przeszyte dwudziestoma pięcioma ranami.

Oto, jak wyglądała legendarna nocna napaść z psalmami na ustach; odtąd w małym mieście nad Tarnem w psalmach musiała brzmieć złowieszczona nuta. Ale ta historia nie kończy się, nawet w przypadku Pont de Montvert, wraz z odejściem kamizardów. Kariera Séguiera była krótka i zbroczona krwią. Z jego ręki lub na jego rozkaz poległo dwóch kolejnych księży i cała rodzina z Ladevèze, od pana domu po sługę, chociaż po nocnej napaści przebywał na wolności najwyżej dzień czy dwa i przez cały czas powstrzymywała go obecność żołnierzy. W końcu został schwytany przez słynnego najemnika, kapitana Poula i z niewzruszoną postawą stanął przed swoimi sędziami.

„Twoje imię?” – zapytali.

„Pierre Séguier.”

„Dlaczego zwą cię Duchem?”

„Ponieważ Duch Pański jest ze mną”⁶⁴.

„Gdzie mieszkasz?”

„Ostatnio na pustkowiu, wkrótce w niebie”.

„Czy nie masz wyrzutów sumienia za swoje zbrodnie?”

„Nie popełniłem żadnej. Moja dusza jest jak zaciszny ogród z tryskającym źródłem”⁶⁵.

⁶⁴ Ewangelia Św. Łukasza 4:18. Biblia Brzeska: „Duch Pański nade mną; dlatego iż mię pomazał, abych opowiadał ewangeliją ubogim; posłał mię, abych uzdrowił skruszone na sercu, abych opowiedział więźniom wyzwolenie, a ślepym naprawienie wzroku, ażebych złamane wypuścił na wolność”.

⁶⁵ Pieśń nad Pieśniami 4:12. Biblia Brzeska: „Siostra i oblubienica moja jest jako ogród ogrodzony, a jako studnia zamknięta i stok zapieczętowany”.

12 sierpnia w Pont de Montvert wyrwano mu prawą rękę, po czym spalono go żywcem. Czy jego dusza naprawdę była ogrodem? Kto wie, czy nie była nim także dusza Du Chayla, chrześcijańskiego męczennika. Niewykluczone, że gdybyś potrafił czytać w mojej duszy, a ja w twojej, nasza własna zawziętość okazałaby się nie mniej zaskakująca.

Była kwatera Du Chayla z odbudowanym dachem nadal stoi obok jednego z mostów w mieście; ciekawscy mogą nawet zajrzeć do ogrodu, przez który wymknął się inkwizytor.

III. W Dolinie Tarn

Z Pont de Montvert przez dolinę Tarn do Florac prowadzi nowa droga; gładka, piaszczysta półka skalna biegnie mniej więcej w połowie między szczytem urwiska a rzeką na dnie doliny; podążając za nią wchodziłem i wychodziłem z zatok cienia i przyłądeków popołudniowego słońca. Przełęcz przypominała Killiecrankie – ze wzgórz zwisa głęboki wąwóz, daleko w dole Tarn wydaje nieziemski, ochrypły wrzask, a granie unoszą się w świetle wysoko w górze. Cienkie pasmo jesionów biegło po szpicach wzniesień jak bluszcz po ruinach, zaś na niższych zboczach i ponad dolinami hiszpańskie kasztany o kwadratowych pniach pięły się na cztery mile ku niebu pod parasolami listowia. Część z nich posadzono na własnych tarasach nie większych od łóżka; inne, ufając swoim korzeniom, znalazły siłę, by rosnąć i rozwijać się bez przeszkód na rwących zboczach doliny, albo stały w szeregu tam, gdzie biegła granica rzeki, wszechpotężne jak cedry Libanu. Nawet w miejscach, gdzie rosły najgęściej, nie tworzyły gęstwiny, a jedynie stado silnych osobników i kopała każdego drzewa górowała swobodnie z osobna, jakby była niewielkim pagórkiem pośród reszty sklepień. Wydzielały słaby, słodkawy zapach, przenikający popołudniowe powietrze; jesień nadawała zieleni odcieni złota i śniedzi, a słońce tak przeświecało i rozpalało szerokie liście, że jeden orzech ukazywał się na tle drugiego, nie w cieniu, lecz w pełnym świetle. Tutaj skromny ry-sownik z bezsilności odłożył ołówek.

Gdybym tylko potrafił naszkicować majestat rozrastania się tych szlachetnych drzew, to, jak

krzesają konarami niczym dęby i dźwigają kiście opadających liści niczym wierzby, to, jak górują na pionowych, żłobionych kolumnach niczym filary kościoła i z najbardziej pokruszonych pni wypuszczają gładkie, wczesne pędy niczym drzewka oliwne, rozpoczynając nowe życie na ruinach starego i dźwigając w sobie naturę wielu różnych drzew – i nawet ich spiczaste wierzchołki, oglądane z bliska na tle nieba, mają w sobie jakąś aurę drzew palmowych, która zadziwia wyobraźnię... Lecz ich charakter, choć złożony z tak wielu elementów, jest o wiele bogatszy i oryginalniejszy. Patrząc w dół na taras wyłożony tymi kopcami wachlarzy lub obserwować klan starych, nobliwych kasztanów zebrany „jak stado słońi”⁶⁶ na zboczu góry, to wznosić się ku wyższym myślom o siłach drzemających w naturze.

Z uwagi na marudny humor Modestyny i zjawiskowość scenerii, tego popołudnia zrobiliśmy niewiele kilometrów; gdy słońce, chociaż wciąż zawieszone na niebie, powoli opuszczało wąską dolinę Tarn, zacząłem rozglądać się za miejscem na biwak. Sytuacja nie wyglądała obiecująco; albo tarasy były zbyt wąskie, albo teren zbyt stromy, abym mógł zaryzykować na nim nocleg. Turlałbym się po zboczu przez całą noc i obudził nad ranem z nogami lub głową w rzece.

Po około mili zobaczyłem płaskowyż, leżący może sześćdziesiąt stóp nad drogą – wystarczająco duży, żeby pomieścić mój śpiwór i zabezpieczony balustradą z pnia starego, gigantycznego kasztana. Tam, z ogromnymi kłopotami, pognałem niechętną Modestynę i pośpiesznie rozładowałem niesione

⁶⁶ Aluzja do poematu *Endymion* Johna Keatsa (1817).

przez nią klamoty. Na płaskowyżu wypatrzyłem pojedynczą łożę, więc musiałem wyjść jeszcze raz przynajmniej tak samo wysoko, zanim udało mi się znaleźć choćby miejsce stojące dla oślicy. Mieściło się na stercie osuwających się kamieni, na sztucznym tarasie, mającym nie więcej niż pięć stóp kwadratowych. Tutaj przywiązałem Modestynę do kasztana, dałem jej zboże i chleb oraz zebrałem dla niej kupkę liści spod drzewa, którymi, jak odkryłem, wyjątkowo się rozkoszowała, po czym wróciłem do własnego obozowiska.

Moja baza znajdowała się na widoku. Raz czy dwa drogą przejechały wozy i dopóki trwał dzień, jak ścigany dywersant chowałem się za fortyfikacją z ogromnego pnia, bo szalenie bałem się nakrycia i nocnej wizyty żartownisiów. Poza tym okazało się, że będę musiał wcześniej wstać, gdyż nie dalej niż dzień wcześniej w sadach pracowali chłopci. Na zboczach leżało wiele ściętych gałęzi, a wielkie łądunki liści stały oparte o pnie; nawet liście kasztana nadają się do gospodarczego użytku: zimą chłopci karmią nimi zwierzęta. Połknąłem kolację przejęty strachem, na wpół leżąc, by nie dało się mnie wypatrzyć z drogi i śmiem twierdzić, że zawładnął mną taki niepokój, jakbym został zwiadowcą z grupy Joaniego nad Lozère⁶⁷ lub z bandy Salomona⁶⁸ po drugiej stronie Tarn, w dawnych czasach psalmów i krwi. A może bałem się nawet bardziej, w końcu kamizardzi, w przeciwieństwie do mnie, obłędnie ufali Bogu: przypomina mi się

⁶⁷ Joani, Jouany albo Joanny, jeden z liderów kamizardów, miał pod swoim dowództwem kilkuset rebeliantów.

⁶⁸ Salomon Couderc, zobacz początek rozdziału „Serce krainy”.

anegdota, jak to hrabia Gévaudan, jadący z grupą dragonów i notariuszem u boku, aby wyegzekwować przysięgę wierności w wioskach, dotarł do leśnej doliny i zastał Cavalierra z jego chłopami w trakcie kolacji; siedzieli na trawie w kapeluszach zwieńczonych girlandami z bukszpanu, podczas gdy ich kobiety prały bieliznę w potoku. Oto jak wyglądał festyn tysiąc siedemset trzeciego roku. Podobne sceny malował wtedy Antony Watteau⁶⁹.

Moje obozowisko nie przypominało chłodnego i cichego sosnowego lasu, w którym spałem poprzedniego wieczoru. Przed zachodem słońca nad brzegiem rzeki świdrował jazgotliwy wokal żab niczym tremolo gwizdka z groszkiem w środku. W zapadającym zmierzchu, wśród opadłych liści, zaczęły się odzywać słabe szelesty; od czasu do czasu do moich uszu docierało delikatne świergotanie lub pisk i nieustannie odnosiłem wrażenie, że między kasztanami widzę coś szybkiego i bezkształtnego. Na ziemi roilo się od wielkich mrówek, nietoperze kołowały, a komary brzęczały nad głową. Długie konary z bukietami zielonych wachlarzy wisiały na niebie jak girlandy, a te bezpośrednio nade mną i wokół mnie przypominały podporę dla pnączy, zniszczoną i przewróconą przez wichurę.

Sen przez długi czas wymykał mi się spod powiek; gdy w końcu poczułem zakradającą się w ciało ciszę, dźwięk dochodzący spod mojej głowy sprawił, że omal nie wyskoczyło mi serce.

Przypominał odgłos głośnego drapania paznokciem i wydobywał się spod plecaka, służącego

⁶⁹ Antony Watteau (1684-1721), francuski malarz rokoka znany ze swoich rustykalnych scen, przedstawień życia pasterzy itp.

mi za poduszkę; powtórzył się trzykrotnie, zanim zdążyłem usiąść i odwrócić się. Niczego nie wypatrzyłem i nic więcej nie usłyszałem, poza kilkoma tajemniczymi szelestami dobiegającymi z różnych stron oraz nieustanną orkiestrą rzeki i żab. Następnego dnia odkryłem, że w kasztanowych sadach mieściło się królestwo szczurów; szelest, ćwierkanie i skrobanie to prawdopodobnie ich sprawa, ale w tamtej chwili zagadka nie dawała się rozwiązać i musiałem zabezpieczyć swój sen najlepiej jak umiałem, rozmyślając nad naturą niewidocznych sąsiadów.

Było jeszcze szaro, gdy obudził mnie (poniedziałek, 30 września) dochodzący z bliska odgłos stóp kroczących po kamieniach i otwierając oczy, zobaczyłem chłopca idącego wśród kasztanów wcześniej niezauważoną przeze mnie ścieżką. Na szczęście nie rozglądał się i szybko zniknął wśród listowia. Nadszedł czas ucieczki! Najwyższy czas! Chłopi byli już na nogach, równie straszni dla mnie w mojej nieciekawej sytuacji jak niegdyś żołnierze kapitana Poula⁷⁰ dla nieposkromionego kamizarda. W pośpiechu nakarmiłem Modestynę; niestety, wracając po swój śpiwór, zobaczyłem mężczyznę i chłopca schodzących ze zbocza w kierunku przecinającym moje koczowisko. Powitali mnie słowami, których nie rozumiałem, a ja odpowiedziałem niewyraźnym, ale pogodnym głosem i pobiegłem założyć getry.

Dwie postaci, najpewniej ojciec z synem, powoli zeszły na płaskowyż i przez jakiś czas stały obok mnie w milczeniu. Zostawiłem otwarty śpiwór i z trwogą rzucałem okiem na rewolwer wystający

⁷⁰ Przywódca wojskowy, który walczył z kamizardami, znany z surowego charakteru i zaciętej postawy.

z błękitnej wełny. W końcu, kiedy obcy wnikliwie mnie sobie obejrzel i zapanowała krępująca cisza, męczyzna przemówił wrogim tonem:

„Spałeś tutaj?”

„Tak” – przyznałem. „Jak widać”.

„Dlaczego?” – zapytał.

„Szczerze mówiąc” – odparłem lekceważąco – „byłem zmęczony”.

Następnie chciał wiedzieć, dokąd idę i co jadłem na kolację, a potem, bez najmniejszego zastanowienia, dodał: „C'est bien, idź już”. Po czym razem z synem, nie wymieniwszy ani słowa, ruszyli w stronę kasztana, który mieli tego dnia przycinać. Sprawa przebiegła niespodziewanie pokojowo. Ojciec okazał się srogim, wzbudzającym respekt człowiekiem, lecz jego nieprzyjazny głos sugerował, że nie wziął mnie za przestępcę, lecz raczej za kogoś gorszego od siebie.

Wkrótce wróciłem na drogę, skubiąc ciasto czekoladowe i poważnie zastanawiając się nad pewną kwestią dotyczącą sumienia. Czy powinienem zapłacić za nocleg? Źle spałem, moja wersalka aż szeleściła od pcheł (w postaci mrówek), w pokoju brakowało wody, a świt zapomniał mnie rano obudzić. Mógłbym nawet spóźnić się na pociąg, gdyby w tej okolicy jeździły jakieś pociągi. Najwyraźniej nie czułem się zadowolony z gościny, bo zdecydowałem, że nie zapłacę, chyba, że żebrakowi.

Rankiem dolina wyglądała jeszcze czarowniej; wkrótce droga opadła aż do poziomu rzeki. Tutaj, w miejscu, gdzie wiele smukłych, kwitnących kasztanów stało w uścisku, tworząc alejkę na zarośniętym tarasie, odbyłem poranną toaletę w wodach Tarn. Była cudownie czysta, niesamowicie chłodna; mydli-

ny znikwały w jej wartkim nurcie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a zanurzone w niej białe głazy dostarczały wzoru czystości. Kąpiel na świeżym powietrzu w jednej z boskich rzek przypomina uroczyste namaszczenie lub na wpół pogański akt kultu. Pluskając się w wannie oczyścimy ciało, ale wyobraźnia nie bierze udziału w takim oczyszczeniu. Po kąpeli kroczyłem dalej z lekkim, spokojnym sercem i po drodze śpiewałem psalmy do ucha duszy.

Nagle podeszła do mnie stara kobieta i wprost zażądała jałmużny.

„Oczywiście” – pomyślałem – „oto nasz kelner z rachunkiem”.

Natychmiast zapłaciłem za nocleg. Myślcie sobie, co chcecie; to jedyna nędzarka, jaką spotkałem w trakcie całej mojej wycieczki.

Kilka kroków dalej wyprzedził mnie starzec w brązowej szlafmocy – bystry, zniszczony przez żywioły, z bladym, podekscytowanym uśmiechem. Podążała za nim mała dziewczynka, prowadząca dwie owce i kozę; została w tyle, podczas gdy starzec siedł obok mnie i gawędził o poranku i dolinie. Minęła szósta; dla zdrowych, wystarczająco wypasnionych ludzi, jest to godzina cielesnego orzeźwienia oraz otwartej i ufnej rozmowy.

„Connaissez-vous le Seigneur?” – zagadnął w końcu⁷¹.

Zapytałem go, jakiego Seigneura miał na myśli, na co on powtórzył pytanie z większym naciskiem i spojrzeniem pełnym otuchy i ciekawości.

„Ach” – odparłem, wskazując w górę. „Teraz cię rozumiem. Owszem, znam go. Jest najlepszym z moich przyjaciół”.

⁷¹ Z franc. „Czy znasz Najwyższego Pana?”

Starzec wyznał, że moja odpowiedź sprawiła mu radość. „Przyrzekam, żeś mnie tu uszczęśliwił” – dodał, uderzając się w pierś. Zdradził mi, że w dolinach żyło kilku takich, którzy znali Pana, ale nie poznał ich wielu, ledwie kilku. „Albowiem wiele jest wezwanych” – zacytował – „ale mało wybranych”⁷².

„Ojciec mój” – wyznałem – „nie sposób odgadnąć, kto zna Pana, to nie nam decydować. I protestanci i katolicy, a nawet poganie czczący kamienie, mogą Go znać i być Mu znani, bo On wszystko uczynił”.

Nie przypuszczałem, że wyjdzie ze mnie tak utalentowany kaznodzieja.

Starzec zapewnił, że podzieli moją opinię i powtórzył wyrazy wdzięczności z powodu naszego spotkania: „Jesteśmy mniejszością. Nazywają nas tutaj Morawianami, zaś w departamencie Gard, gdzie mieszka nas paru, wołają na nas Darbyści, od nazwiska angielskiego pastora”⁷³.

Zacząłem rozumieć, że wzięto mnie za członka nieznanego mi zgromadzenia religijnego, ale czułem się bardziej dumny z radości, jaką sprawilem towarzyszowi niż zakłopotany nieporozumieniem. Przyznaję, nie widzę nic nieuczciwego w ukrywaniu dzielących nas różnic, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi sprawy, co do których możemy być pewni, że niezależnie od tego, kto jest w błędzie, my sami nie

⁷² Ewangelia św. Mateusza 22:14. Biblia Brzeska.

⁷³ Od Morawian, czyli Czechów, wyznawców Jana Husa, w znaczeniu „innowiercy”. Darbyści byli sektą religijną, nazwaną od założyciela Johna Nelson’a Darby; wyłonili się w I. poł. XIX. w. w południowej Anglii spośród braci pływających, zgromadzenia reprezentującego ewangelikalną formę pobożności w nurcie protestantyzmu, zapoczątkowanego w Imperium Brytyjskim pod koniec lat 20. XIX w.

mamy całkowitej racji. Wiele powiedziano o absolutnym sensie mówienia prawdy, lecz ten starzec w brązowej szlafmicy okazał taką spontaniczność, troskę i zaufanie, że bez wahania nazywam się jego nawróconym grzesznikiem. Teraz wiem, że spotkałem brata plymuckiego. Nie mam pojęcia, z czym wiąże się doktryna jego wiary i brakuje mi czasu na podobne dociekania; wystarcza mi świadomość, że wszyscy przychodzimy na ten padół łez jako dzieci jednego Ojca, usiłując w wielu zasadniczych sprawach postępować tak samo i dążyć do tych samych celów. I chociaż brat tak często ścisnął moją dłoń i gorliwie się ze mną zgadzał właśnie dlatego, że został wprowadzony w błąd, to była tylko drobna nieścisłość na drodze do prawdy. Ponieważ miłosierdzie zaczyna się po omacku i w wyniku serii podobnych nieporozumień przeobraża się w zasadę miłości, cierpliwości oraz silnej wiary wobec i we wszystkich naszych bliźnich. Jeśli okłamałem tego zacnego różnowiercę, chętnie w podobny sposób oszukałbym innych. I mam nadzieję, że kiedy w końcu oddzielnymi, smętnymi drogami dotrzemy wszyscy do wspólnego domu, mój brat plymucki z gór znowu pospieszy uścisnąć moją dłoń.

Tym sposobem, rozmawiając jak Chrześcijanin z Wiernym⁷⁴, zawitaliśmy do wioski nad Tarnem. Było to niepozorne miejsce zwane La Vernède, z mniej niż tuzinem domów i hugenocką kaplicą na wzgórzu. Stąd pochodził mój brat i tutaj, w zajeździe, zamówiłem śniadanie. Gospodę prowadził sympatyczny młodzieniec, łamacz kamieni, razem ze swoją siostrą, ładną i ujmującą dziewczyną.

⁷⁴ Z *Wędrówki Pielgrzyma* Johna Bunyana. Chrześcijan spotyka się z Wiernym w I części dzieła.

Dołączył też do nas wiejski nauczyciel, który chciał porozmawiać z nieznajomym. Wszyscy ci ludzie wyznawali kalwinizm, co przyjąłem z zaskakującą radością i, co dodatkowo mnie pokrzepiło, wszyscy sprawiali wrażenie prawych, prostodusznych istot. Zafascynowany brat plymucki kręcił się w pobliżu i zaglądał do mnie przynajmniej trzykrotnie, aby upewnić się, że mam się dobrze. Jego zachowanie głęboko mnie przejęło i nawet teraz czuję się poruszony, gdy sobie o nim przypominam. Nie chciał się wtrącać, ale nie potrafił zrezygnować z ani jednej chwili mojego towarzystwa i nigdy, przenigdy nie męczyło go potrząsanie mojej dłoni.

Kiedy miejscowi wrócili do codziennych zajęć, prawie pół godziny spędziłem z młodą gospodynią, z pasją opowiadającą o wozie pełnym liści kasztana, o urodzie Tarn i rodzinnych uczuciach, których nie da się wykorzenić, mimo że kruszeją, gdy młodzi opuszczają dom. Jestem pewien, że posiadała łagodną naturę, wiejską prostotę serca oraz wrażliwość na świat i będzie szczęśliwcem ten, kto ją pokocha.

Dolina ścieląca się poniżej La Vernède budziła we mnie coraz większą fascynację. Raz wzgórza zbliżały się z każdej strony, nagie i pokruszone, otaczając rzekę murem klifów; raz dolina rozszerzała się i wybuchala zielenią. Stroma droga prowadziła mnie obok średniowiecznego zamku Miral, niegdyś klasztoru z blankami, który zamieniono na kościół i plebanię oraz nieopodal skupiska czarnych dachów, czyli wioski Cocurès, wyrastającej pośród winnic, łąk i sadów gęstych od rudych jabłek, gdzie wzdłuż szosy wieśniacy strącali z przydrożnych drzew orzechy włoskie i zbierali je do worków i ko-

szy. Wzgórza, bez względu na to, jak bardzo otwierała się dolina, strzelały w górę, wyniosłe i nagie, z urwistymi blankami i gdzieniegdzie ze spiczastym szczytem, a Tarn nieustannie gawędziła po góralsku między kamieniami. Włóczędzy o malowniczej wyobraźni przekonywali mnie, że zobaczę przerażający kraj w duchu Byrona, jednakże w moich szkockich oczach ta kraina wydawała się uśmiechnięta i obfita – tutejsza pogoda budziła we mnie wrażenie pełni lata, mimo że jesień już pozrywała kasztany, a topole, które zaczęły mieszać się z kasztanami, złościły się blade w obliczu nadchodzącej zimy. W tutejszej panoramie mieszkło coś energetycznego i dzikiego, coś właściwego dla ducha południowych kowenatów. Buntowników, którzy ze względu na sumienie ruszyli na szkockie wzgórza, nie opuszczały opętancze myśli; otrzymawszy zachętę od Jahwe, dwa razy mocniej sprzymierzyli się z szatanem, zaś kamizardzi wieszczili tylko jasność i zmiłowanie: o wiele częściej brudzili się rozlewając krwią, zarówno tą z własnych ran, jak i z ciał wrogów, jednak w ich pismach nie znajduję żadnej obsesji na punkcie Zła. W tych trudnych czasach i okolicznościach szli przez życie z lekkim sumieniem. (Nie zapominajmy, że dusza Séguiera była ogrodem). Ich wiara w to, że stoją po stronie Boga, z pewnością przerastała ufność Szkotów; Szkoci bowiem, chociaż nie wątpili w swoje racje, nie mogli spać spokojnie, niepewni co do tego, kto ich ku nim wiedzie.

„Na dźwięk psalmu” – wspominał leciwy kamizard – „lataliśmy jak na skrzydłach. Porywał nas ożywczy żar, unoszące pragnienie. Tego uczucia nie da się wyrazić słowami. Tego uczucia trzeba doświadczyć, aby je zrozumieć. Nieważne, jak

bardzo odczuwaliśmy zmęczenie: gdy tylko dźwięk psalmów docierał do naszych uszu, myśl o zmęczonych umysłach i ciałach odchodziła, stawaliśmy się lżejsi i pobudzeni”⁷⁵.

Dzięki dolinie Tarn i ludziom spotkanym w La Vernède lepiej rozumiałem jego słowa oraz dwadzieścia lat cierpienia, jakie ci, którzy byli tak nieustępliwi, znosili z pokorą dzieci i wytrwałością świętych i chłopów.

⁷⁵ Cytat z *Pasterzy Pustyni*.

IV. Florac

Przy jednym z odgałęzień rzeki Tarn leży Florac, siedziba subprefektury, gdzie znajduje się dawna warownia, aleja platanów, wiele osobliwych uliczek i żywa fontanna tryskająca ze wzgórza. Miasto znane jest z pięknych kobiet i jako jedna z dwóch stolic (druga to Alais) kraju kamizardów. Po posiłku właściciel gospody zabrał mnie do pobliskiej *café*, gdzie ja, a raczej moja tułaczka, stała się tematem popołudnia. Bywalcy *café* mieli dla mnie różne cenne rady; mapę subprefektury przyniesioną z samej siedziby władz wertowano między filiżankami kawy a szklanekami likieru. Większość moich doradców wyznawała kalwinizm, ale zauważyłem, że protestanci i katolicy żyją tu ze sobą w zgodzie i dziwiłem się, jak żywa jest wśród nich pamięć o wojnie religijnej. Pośród południowo-zachodnich wzgórz, na terytorium Mauchline, Cumnock czy Carsphairn, w odosobnionych zagrodach i we dworach, sumienni hugenoci wciąż pamiętają dni uciemnienia, a groby miejscowych męczenników traktowane są przez nich z szacunkiem. Obawiam się jednak, że w miastach i wśród tak zwanych klas wyższych dawne wydarzenia stały się jedynie przebrzmiałymi sensacjami. Towarzystwo z King's Arms w Wigton⁷⁶ nie zwraca sobie głowy szkockimi kowenantami. Podobnie mało realnym jest, aby żona urzędnika parafialnego z Muirkirk w Glenluce kiedykolwiek słyszała o proroku Pedenie⁷⁷.

⁷⁶ Dawny, angielski zajazd, w którym gościli słynni, angielscy pisarze, m.in. Charles Dickens i Wilkie Collins.

⁷⁷ Alexander Peden (1626-1686), czołowy kaznodzieja szkockich kowenantów.

Lecz ci seweńczycy czuli dumę ze swoich przodków, najchętniej wciąż rozmawialiby o powstaniu, a sukcesy rebeliantów dostarczały im wzoru szlachetności – tam, gdzie jakiś człowiek albo lud przeżył tylko jedną przygodę, i to heroiczną, możemy odczuć (i starać się wybaczyć) pewną rozwlekłość sentymentu. Zapewnili mnie, że w ich kraju wciąż roi się od niezebranych legend i że spadkobiercy Cavaliera, nie jego bezpośredni potomkowie, ale kuzyni lub siostrzeńcy, wciąż pracują na żyznych ziemiach, gdzie niegdyś podrostek-generał dokonywał swoich największych czynów (pewien rolnik widział nawet kości wojowników wykopane pewnego popołudnia w XIX wieku – na polu, gdzie ginęli przodkowie i które uprawiały ich wnuki).

Później, tego samego dnia, kalwiński pastor złożył mi uprzejmą wizytę: rozmawiałem z tym młodym, błyskotliwym duchownym godzinę lub nawet dwie. Florac, wyjaśniał, jest po części protestanckie, po części katolickie, do różnic religijnych dochodzą jeszcze różnice polityczne. Nietrudno zrozumieć zdziwienie wędrowca przybywającego z Le Monastier, kłótniwej, francuskiej Polski, na wieść o tym, że ludność Florac żyje bezkonfliktowo, że doszło nawet do wymiany serdeczności między poróżnionymi rodzinami. Czarny i biały kamizard⁷⁸, francuski milicjant, żołnierz katalońskiej piechoty, dragon, protestancki prorok i katolicki kadet Białego Krzyża⁷⁹, wszyscy oni strzelali i szabrowali, palili, rabowali i mordowali, a ich serca gotowały się w furii; i oto po stu siedemdziesięciu latach, hugenot nadal jest hugenotem,

⁷⁸ Czarni kamizardzi byli protestanckimi buntownikami.

⁷⁹ „Kadeci Krzyża”, inna nazwa katolickiej frakcji bojowników, Białych Kamizardów, wywodząca się od małego białego krzyża, który nosili na swoich płaszczach.

a katolik katolikiem i żyją ze sobą w zgodzie i we wzajemnej tolerancji. Nasz gatunek, podobnie jak niezłomna natura, z której wyrasta, posiada swoiste właściwości lecznicze; dekady i pory roku rodzą najróżniejsze owoce, po burzy wychodzi w końcu słońce i ludzkość porzuca świeckie animozje, tak jak samotnik przytomnieje po namietnościach dnia. Teraz możemy osądzać naszych przodków z niemalże boskiej pozycji; zza mgły odkładającej się przez kilka stuleci widzimy obie strony konfliktu wyposażone w cnoty i walczące o swoje rację.

Nigdy nie sądziłem, że łatwo jest być sprawiedliwym i z każdym dniem swojego życia uważam to zadanie za coraz trudniejsze. Przyznaję, że z przyjemnością przebywałem wśród protestantów i czułem się wśród nich jak u siebie w domu. Przywykłem do mówienia ich językiem, w innym i głębszym znaczeniu słowa „język”, dotyczącym czegoś więcej niż tylko różnicy między francuskim a angielskim, gdyż prawdziwą wieżą Babel jest niezgoda w kwestii moralności. Dlatego z hugenotami rozmawiałem z poufałością i osądzałem ich uczciwiej niż katolików. Ojciec Apollinaris mógłby uściskać się z bratem plymuckim jak dwaj sumienni i pobożni starcy, ale wciąż pozostaje pytanie: czy z równą otwartością przyjmowałem cnoty trapisty albo, czy gdybym był katolikiem, tak samo obdarzałbym współczuciem dysydenta z La Vernède? Moja relacja z trapistą opierała się na tolerancji, ale to z innowiercą mogłem wymieniać szczere myśli, mimo nieporozumienia, które nas połączyło i ograniczonej ilości tematów do rozmowy. W tym niedoskonałym świecie ochoczo witamy nawet niekompletną bliskość. I jeśli udało nam się spotkać choćby jedną

osobę, z którą możemy porozmawiać swobodnie i od serca, z pasją i prostotą, bez udawania, nie mamy podstawy do sporu ze światem ani z Bogiem.

V. W Dolinie Mimente

We wtorek, 1 października, zmęczona oślica i jej wyczerpany przewodnik późnym popołudniem opuścili Florac. Nieco dalej, w górę rzeki Tarnon, zadaszony drewniany most wprowadził nas do doliny Mimente. Strome, skaliste, ogniste góry wisiały nad ruczajem; na zboczach i kamienistych tarasach stały wielkie dęby i kasztany; tu i ówdzie wyrastało rumiane poletko prosa lub kilka jabłoni oblepionych purpurowymi jabłkami; droga obchodziła dwie czarne wioski (jedną ze starym zamczyskiem na szczycie ku radości serca turysty).

Znowu miałem problemy ze znalezieniem miejsca na obozowisko. Nawet pod dębami i kasztanami ziemia osuwała się gwałtownym zboczem, do tego była usiana luźnymi kamieniami, a w miejscach, gdzie nie rosły drzewa, wzgórza schodziły do rzeki czerwoną przepaścią porośniętą wrzosem. Słońce już opuściło swój najwyższy punkt i dolinę wypełnił ryczący odgłos pasterskich rogów wzywający stada do stajni, gdy przy zakręcie rzeki, gdzieś poniżej drogi, wypatrzyłem łąkę. Zszedłem na nią i przywiązawszy Modestynę do drzewa, przystąpiłem do obserwacji okolicy. Górską dolinę wypełniał szaro-perłowy, wieczorny półcień; obiekty leżące w niewielkiej odległości ode mnie stawały się niewyraźne i zlewały ze sobą w zdumiewający sposób, a ciemność narastała równomiernie jak wydech. Gdy zbliżałem się do wielkiego dębu rosnącego na łące, tuż przy tafli wody, ku własnemu przerażeniu usłyszałem głosy dzieci i za zakrętem, na drugim brzegu rzeki, zobaczyłem dom. Miałem

ochotę spakować się i jak najszybciej oddalić, lecz coraz większy mrok skłonił mnie do pozostania. Musiałem uważać, żeby nie hałasować i mieć nadzieję, że zorza wcześniej mnie obudzi. Ale, jak się okazało, w tak ekskluzywnym hotelu nie sposób irytować się na sąsiadów.

Wgłębienie pod dębem służyło mi za tapczan. Zanim nakarmiłem Modestynę i ułożyłem śpiwór, już mocno rozpały się trzy gwiazdy, a inne ćmiły się jeszcze niewyraźnie. Zsunąłem się do rzeki (wśród skał wydawała się niesamowicie czarna), aby napęlić swój kanister i cieszyłem się posiłkiem w ciemności, bo będąc tak blisko czyjegoś domostwa, bałem się zapalić latarnię. Księżyc, przez całe popołudnie widoczny pod postacią bladego rożka, słabo oświeślał wierzchołek wzgórz, ani jeden promień nie dosięgał dna mojej doliny. Dąb wznosił się przede mną jak słup czerni, a nad głową zakwitały mi kolejne, kuszące ciała niebieskie. Kto nie spał pod gołym niebem, nie poznał gwiazd, jak mawiają Francuzi. Choćby umiał wymienić ich liczne imiona, znał ich powierzchownie i dzielące je odległości, nie będzie świadomy jedynej rzeczy, która łączy gwiazdy i ludzi – rozkosznego wpływu gwiazd na ludzki umysł. Duża część poezji dotyczy gwiazd; i bardzo słusznie, one same są najbardziej klasycznymi poetkami. Te odległe światy, błyskające jak iskry lub wibrujące jak diamentowy pył, dziś wyglądały identycznie jak za czasów Rolanda lub Cavaliera, kiedy, mówiąc słowami tego ostatniego, „nie mieli innego namiotu poza niebem oraz innego łóżka niż matka ziemia”.

Przez całą noc dolinę wymiatał silny wiatr i z dębu spadały na mnie żołędzie. Mimo wszystko

tej pierwszej październikowej nocy powietrze było aksamitne jak w maju i spałem w rozsuniętym śpiworze.

Przeszkadzało mi szczekanie psa, zwierzęcia, którego boję się bardziej niż wilka. Pies jest odważniejszy, poza tym kieruje nim poczucie obowiązku. Jeśli zabijesz wilka, pochwałą cię i przyznają ci rację, ale jeśli zabijesz psa, święte prawo własności, a także uczucia właścicieli będą się domagać zadośćuczynienia. Pod koniec ciężkiego dnia ostra, okrutna nuta ujadania sama w sobie wywołuje przykre uczucia, zaś dla włóczęgi takiego jak ja symbolizuje osiadły i szacowny świat w jego najgroźniejszej formie. W tym intrygującym zwierzęciu drzemie coś z duchownego albo prawnika i gdyby nie dało się go odstraszyć kamieniami, najodważniejszy paladyn unikałby pieszych peregrynacji. Bardzo szanuję psy biegające przy domowym ognisku, ale idąc gościńcem lub śpiąc w terenie nie znoszę i boję się ich po równo.

Następnego ranka (środa, 2 października) obudził mnie ten sam pies – rozpoznałem jego ujadanie – szarżujący w dół brzegu. Na szczęście, widząc, że wstaję, wycofał się skwapliwie. Gwiazdy jeszcze zupełnie nie zgasły. Nad głową miałem powabne, szaroniebieskie niebo. Dotknęło mnie nieruchome, przejrzyste lśnienie, a drzewa na zboczu wzgórza ostro zarysowały się na tle nieba. Wiatr skręcił silniej na północ i już nie odwiedzał mnie w dolinie; gdy zbierałem się do drogi bardzo szybko przeciągnął kredowy obłok po szczycie wzgórza, więc patrząc w górę, byłem zaskoczony widokiem chmury zabarwionej złotem. Rano w wysokich warstwach powietrza słońce świeci równie mocno jak w po-

ludnie. Gdyby chmury unosiły się wystarczająco wysoko, widzielibyśmy ten sam blask przez całą noc, gdyż połacie galaktycznych przestrzeni zawsze wypełnia światło dnia.

Kiedy zacząłem wspinać się w górę doliny, z miejsca wschodzącego słońca powiał ku niej wiatr, chociaż kłęby pary nadal płynęły mi nad głową w niemalże przeciwnym kierunku. Kilka kroków dalej zobaczyłem całe zbocze pokryte słońcem – między dwoma wierchami, na niebie unosiło się centrum olśniewającego blasku i ponownie stanąłem twarzą w twarz z wielkim ogniem, zajmującym centrum naszego układu planetarnego.

Tamtego przedpołudnia spotkałem tylko jednego człowieka: mrocznego piechura, który wyglądał na wojskowego i nosił na pendencie myśliwski worek⁸⁰. Zapytałem go, czy jest hugenotem czy katolikiem, na co zwrócił się do mnie słowami wartymi zanotowania:

„Och. Nie wstydzę się swojej religii. Jestem katolikiem”.

Nie wstydził się! Ta fraza doskonale oddaje ducha kraju kamizardów, gdyż tutaj prawie wszyscy wyrażają się w podobny sposób. Pomyślałem z uśmiechem o Bavile’u i jego dragonach⁸¹, i o tym, jak religia tępiona przez całe stulecia jedynie się umacnia. Irlandia nadal jest katolicka, Sewenny wciąż są protestanckie. Kosz pełen aktów prawnych, kopyta końskie i kolby pułków nie są w stanie zmienić ani jednej myśli w głowie chłopca. Wieśniacy nie

⁸⁰ Pendent (z jęz. fr. *pendant* – wiszący) – pas noszony przez ramię, używany do przenoszenia broni bocznej białej.

⁸¹ Just de Baviille, szef prowincji odpowiedzialny za rozgromienie kamizardów.

znają wielu idei, ale te, które żywią, są odpornymi roślinami i kwitną pod butem oprawcy. Ten, kto długo dojrzał w pocie znojnego południa i nocą pod niebem pełnym gwiazd, bywalec wzgórz i gajów, stary, uczciwy krajan, osiąga w końcu poczucie wspólnoty z potęgami wszechświata i przyjazne stosunki z Panem Bogiem. Podobnie jak brat plymucki – zna Pana. Jego wiara nie opiera się na prawidłach logiki; jest poezją doświadczeń, filozofią historii jego życia. Stwórca, potężna siła, tak jak wielkie świecące słońce ukazywał się temu prostaczkowi przez lata, wypełniał jego najmniejsze myśli; możesz wymuszać spowiedzi i dogmaty siłą autorytetu lub głosić nową religię przy dźwięku trąb, ale tutaj jest człowiek z własnym zdaniem i będzie się go trzymał uparcie, na dobre i na złe. Jest katolikiem, hugenotem lub bratem plymuckim w tym samym nieodwołalnym sensie, w jakim mężczyzna nie jest kobietą, a kobieta mężczyzną. Nie mógłby bowiem porzucić swojej wiary, nie pozbywając się przy tym wszystkich wspomnień, nie wymieniając głowy w dosłownym, nie metaforycznym sensie.

VI. Serce krainy

Zbliżałem się teraz do Cassagnas, skupiska hebanowych dachów na zboczu wzgórza położonego wśród kasztanowych sadów dzikiej doliny, któremu w czystym powietrzu przyglądały się skaliste grzbiety. Niedawno ułożono drogę prowadzącą wzdłuż potoku Mimente, a górale wciąż nie otrząsnęli się z zaskoczenia, z jakim spotkał się przyjazd pierwszego wozu do Cassagnas. Dzieje tej małej wioski, leżącej niemal poza światem, zapisały się w kronice krainy. Nieopodal, w górskich grotach, znajdowała się jedna z pięciu zbrojowni kamizardów, gdzie buntownicy składali swoje ubrania, zboże i broń, wykuwali bagnety i szable, wyrabiali proch strzelniczy z węgla wierzbowego oraz saletrę gotowaną w kotłach. Do tych samych jaskiń, pośród krzątający się wolontariuszy, przywożono chorych oraz rannych; tam odwiedzali ich dwaj chirurdzy, Chabrier i Tavan, i tam potajemnie doglądały ich kobiety z sąsiedztwa.

Najstarszy i najmniej znany z pięciu legionów kamizardów ulokował swoje magazyny przy Cassagnas. To była banda Ducha Séguiera; ci sami świątoburcy, którzy w Psalmie Sześćdziesiątym Ósmym połączyli z Séguierem swoje głosy, maszerując nocą na arcykapłana Sewennów. Następcą Séguiera, awansowanego do nieba, został Salomon Couderc, którego Cavalier⁸² w swoich wspomnieniach określa mianem kapelana generalnego całej armii kamizardów. Salomon Couderc prorokował i wspaniale

⁸² Jean Cavalier, *Memoirs of the Wars of the Cévennes under Col. Cavalier* (1726).

czytał w ludzkich sercach, dopuszczał do sakramentów lub ich odmawiał, „intensywnie zaglądając w głąb człowieka” i znał na pamięć większość Pisma Świętego. Szczęśliwie, można by dodać, ponieważ w sierpniu 1703 roku niespodziewanie stracił muła, teczkę z rysunkami i mapami oraz Biblię. Dziwne, że jego sprzymierzeńców nie atakowano częściej i skuteczniej, biorąc pod uwagę, że legion z Cassagnas upierał się przy swojej konserwatywnej teorii wojny i obozował bez wartowników, zostawiając obowiązek straży archaniołom Boga, za którego walczył. Rzecz jasna, mamy tu do czynienia ze świadectwem najgłębszej wiary, ale także z dowodem na to, że kraina zamieszkiwana przez wiernych położona była z dala od szlaków komunikacyjnych. Pewnego ładnego dnia, przechadzając się od niechcenia, M. de Caladon⁸³ wszedł, jak gdyby nigdy nic, do obozu powstańców, tak jak można wpaść na „stado owiec na równinie” i zastał ich, gdy ucinali sobie drzemkę i nucili psalmy. Nie dziwi więc, że zdrajca nie potrzebował żadnych specjalnych zdolności, by wkraść się w szeregi kamizardów, poza „umiejętnością śpiewania psalmów”, bo nawet profeta Salomon „obdarzał szpiegów szczególną przyjaźnią”. A zatem, wśród tych zygzakowatych gór stacjonowały niegdyś bandy wieśniaków, a na kartach historii nie zapisały się ich żadne militarne wyczyny, jedynie sakramenty i ekstazy.

Ludzie tak twardego i prostego rodzaju nie są, jak już zauważyłem, skłonni do zmienności w kwestiach religijnych, i jeśli zbliżają się do świętokradztwa, to tylko z potrzeby dostosowania się, jak Naaman

⁸³ Caladon, francuski protestant zesłany do Anglii, pozostawił dwie opublikowane relacje o kamizardach.

wchodzący do świątyni Rimmona⁸⁴. Kiedy Ludwik XVI, wedle słów edyktu „przekonany o bezcelowości stulecia ucisku, raczej z konieczności niż współczucia”, udzielił wreszcie królewskiej łaski tolerancji⁸⁵, Cassagnas zostało hugenocką osadą i jest dziś taką co do mieszkańca. Rzeczywiście, mieszka tu jedna nieprotestancka, ale również niekatolicka rodzina. Mam na myśli niepokornego, niegdyś katolickiego księdza, który obdarzył uczuciem protestancką guwernantkę. Warto zauważyć, że jego postępowanie potępił wszyscy miejscowi hugenoci.

„Niedobrze, jeśli człowiek zmienia wiarę” – powiedział mi jeden z nich.

Spotkani przeze mnie mieszkańcy wsi wydawali się na swój prowincjonalny sposób inteligentni, wszyscy sprawiali wrażenie ludzi cnotliwych i dostojnych. Jako urodzony kalwin cieszyłem się dużym uznaniem, a świadomość dawnych wydarzeń przysporzyła mi największego szacunku. Prowadziliśmy bowiem przy stole coś w rodzaju religijnej sprzeczki; żandarm i kupiec, z którymi jadłem, byli nietutejszymi katolikami. Młodzi tubylcy stali dookoła i gorąco

⁸⁴ Naaman został wyleczony z trądu przez proroka Elizeusza, ale po powrocie do domu nadal chciał oddawać cześć swojemu syryjskiemu Bogu: „Jedno mi to niechaj Pan odpuści, słudzebnikowi twemu, iż gdy pan mój wnidzie do kościoła Remmon, chwalić bogów, a ja bych go trzymał pod rękę i kłaniał bych się w kościele Remmon, takowe moje kłanianie na miejscu onym proszę niechaj mi Pan odpuści, słudzebnikowi twemu”. 2 Księga Królewska, 5: 18. Biblia Brzeska.

⁸⁵ Edykt tolerancji z 1787 roku nadawał niekatolikom we Francji prawa obywatelskie, których wcześniej im odmawiano, w tym prawo do zawierania małżeństw bez konieczności przechodzenia na katolicyzm, ale odmawiał im praw politycznych i kultu publicznego.

mi dopingowali; dyskusja toczyła się w tolerancyjny sposób i zaskoczyła literata wychowanego wśród nieskończenie błahych, waśniących różnic. Kupiec rzeczywiście nieco się zapieklili i był mniej zadowolony niż inni z mojej wiedzy historycznej. Natomiast żandarm przyjmował moje tezy z cierpliwym wysiłkiem.

„Niedobrze, jeśli człowiek zmienia wiarę” – podsumował, a jego uwaga została przyjęta gromkimi oklaskami.

Ksiądz i żołnierz z Matki Boskiej Śnieżnej nie mogliby się z nim zgodzić. Ale okolice Cassagnac zamieszkiwał odmienny gatunek ludzki; podejrzewam, że ta sama wielkoduszość, która przed laty pomogła mu się zbuntować, dziś sprawia, że z tolerancją akceptuje odmiennie zdanie. Ponieważ odwaga szanuje odwagę; tam, gdzie wiara została zdeptana, żyją tylko przeciętne i ograniczone stworzenia. Prawdziwym dziełem Bruce’a i Wallace’a⁸⁶ było ostateczne zjednoczenie narodów; to, że gdy nadszedł czas, potrafiły połączyć się we wzajemnym szacunku.

Kupiec wyraził wielkie zainteresowanie moją ekspedycją i dowodził, że spanie w terenie jest bardzo niebezpieczne.

„W okolicy grasują wilki” – przypomniał – „i wiadomo, że jesteś Anglikiem, a Anglicy noszą długie sakiewki, więc komuś w końcu wpadnie do głowy, żeby pewnej nocy zacząć się na ciebie”.

Zaręczyłem, że nie zaprzątam sobie głowy takimi wymysłami; rozwodzenie się nad możliwym nieszczęściem lub rozważanie nikłych niebezpieczeństw stojących na życiowej drodze uważam

⁸⁶ William Wallace (1270–1305) i Robert the Bruce (1274–1329) – narodowi bohaterowie Szkocji, którzy oparli się angielskiej okupacji.

za nierozsądne. Samo życie jest, jako całość, zbyt ryzykowne, by poświęcać uwagę każdemu, najmniejszemu zagrożeniu. „Gdybyś zamknął się w pokoju na trzy obroty klucza”, zripostowałem, „każdego dnia istniałaby szansa, że coś pięknie ci w brzuchu i dokonasz żywota”.

„Cependant” – odparł – “coucher dehors”!⁸⁷

„Bóg jest wszędzie” – dodałem.

„Cependant coucher dehors” – powtórzył wyraźnie przerażonym głosem.

Był jedyną spotkaną przeze mnie osobą, która widziała coś trudnego w tak prostej czynności; wielu uważało ją po prostu za zbyteczną. I podobnie tylko jeden spotkany przeze mnie bliźni szczerze cieszył się moim pomysłem – mam na myśli brata plymuckiego, który, kiedy zwierzyłem się, że czasami wolę spać pod gwiazdami niż siedzieć w dusznej, gwarnej piwiarni, wykrzyknął uradowany: „Teraz poznaję, że znasz Najwyższego!”

Kiedy wyjeżdżałem, kupiec poprosił mnie o wizytówkę, ponieważ, jak mniemał, „będzie się tu o mnie mówiło” oraz wyraził życzenie, abym koniecznie zanotował jego prośbę i rozumowanie, co niniejszym spełniłem.

Krótko po czternastej przekroczyłem Mimente i ruszyłem wyboistą ścieżką na południe, w górę zbocza pokrytego drobnymi kamieniami i kępami wrzosu. Na szczycie, jak mogłem się spodziewać, ścieżka zniknęła; zostawiłem oślicę, przeżuważając wrzos i poszedłem dalej w poszukiwaniu szlaku.

Dotarłem do przełomu wodnego; za mną wszystkie strumienie płynęły do Garonny i Oceanu Za-

⁸⁷ Z franc. „Ale żeby spać na zewnątrz!”

chodniego⁸⁸; przede mną słało się dorzecze Rodanu. Stąd, tak jak z Lozère, przy dobrej pogodzie da się wypatrzeć lśniąca Zatokę Lyonską i podobno właśnie tutaj żołnierze Salomona wypatrywali wysokich żagli sir Cloudesleya Shovela⁸⁹ i od dawna wyczekiwanej pomocy z Anglii. Można powiedzieć, że ta grań leży w samym sercu kraju kamizardów; cztery z pięciu legionów obozowały wokół niej niemalże we wzajemnym zasięgu wzroku – Salomon i Joani na północy, Castanet i Roland na południu; a gdy Julien⁹⁰ ukończył swoje słynne dzieło, pustoszenie Wysokich Sewennów, trwające przez cały październik i listopad 1703 roku, gdy czterysta sześćdziesiąt małych i większych wiosek zostało całkowicie zmiecionych z powierzchni ziemi ogniem i kilofem, jakaś postać stojąca w tym miejscu spoglądała na milczącą, wymarłą krainę, opuszczoną nawet przez dym pożogi. Czas i trud człowieka odbudowały zgłiszcza, w Cassagnas znowu wznoszą się dachy i dym z pieców, a w kasztanowych sadach, niskich i liściastych enklawach, po skończonej robocie wielu

⁸⁸ Ocean Atlantycki.

⁸⁹ Cloudesley Shovell (1650-1707), brytyjski bohater marynarki wojennej, kontradmirał Anglii, głównodowodzący flot brytyjskich. W 1703 r. Shovell wysłał dwa statki ze swojej floty śródziemnomorskiej z pieniędzmi, bronią i amunicją dla kamizardów. Rebelianci nie mogli odebrać pomocy ze względu na stacjonujące w pobliżu siły rojalistów. W końcu statki odpłynęły, a rojaliści przystąpili do niszczenia przybrzeżnych wiosek rybackich, aby zapobiec przyszłym lądowaniom.

⁹⁰ M. de Julien, szlachcic z rodu Orange, mianowany przez króla Ludwika XIV generałem-majorem i głównodowodzącym wojsk Vivarais i Cevennes, był szczególnie bezwzględny w niszczeniu wiosek, osobiście prosił króla o pozwolenie na użycie ognia.

dostatnio żyjących rolników wraca do swoich dzieci i jasnego paleniska. Mimo wszystko był to najdzikszy krajobraz, jaki widziałem podczas całej swojej podróży. Szczyt za szczytem, łańcuch za łańcuchem biegnęły na południe, żłobione i rzeźbione zimowymi potokami, od stóp do głów upierzone kasztanami, tu i ówdzie rozpadające się w koronę klifów. Słońce, które jeszcze nie zachodziło, wysyłało mglistą, złotą smugę po szpicach wzgórz, a doliny pogrążały się w głębokim, sekretnym cieniu.

Sędziwy pasterz, podpierający się na dwóch patykach i ubrany w czarną czapkę frygijską⁹¹, jak gdyby na znak własnego zbliżania się do grobu, wskazał mi drogę do Saint Germain de Calberte. W odosobnieniu tej niedołącznej i wiekowej istoty tkwiło coś patetycznego. To, gdzie mieszkał, w jaki sposób dostał się na wysoką grań i jak zamierzał z niej zejść, przerastało moją wyobraźnię. Niedaleko na prawo znajdował się słynny Plan de Font Mor-te, gdzie Poul ścinał kamizardów Séguiera swoją armeńską szablą. Przyszło mi do głowy, że starzec mógł być jakimś Rip Van Winklem⁹² z czasu wojny, który stracił towarzyszy, uciekając przed Poulem i odtąd wędrował bez wytchnienia po górach. Mógł nawet nie wiedzieć, że Cavalier skapitulował, a Roland padł, walcząc z plecami opartymi o drzewo oliwne. Zatracony w podobnych fantazjach, usły-

⁹¹ Kapelusze w kształcie stożka, który po rewolucji francuskiej stał się symbolem republikańskim; pierwotnie czapki frygijskie nosili wyzwoleni niewolnicy w starożytnym Rzymie.

⁹² Postać z opowiadania Washingtona Irvinga z 1819 roku; tytułowy bohater, uśpiony przez duchy w górach w stanie Nowy Jork w czasach kolonialnych, budzi się po dwudziestu latach w niepodległych Stanach Zjednoczonych.

szalem jego łamany krzyk i zobaczyłem, że macha na mnie jednym ze swoich patyków. Kolejny raz zostawiłem Modestynę i zawróciłem.

Niestety, historia lubiła się powtarzać. Starzec wziął mnie za handlarza, a ponieważ zapomniał zapytać, co sprzedawałem, chciał wypłatać się z tego zaniedbania.

„Nic” – odezwałem się gniewnie.

„Nic?!” – zahuczał.

„Nic” – powtórzyłem i uciekłem.

Pewnie tym sposobem stałem się równie niepojęty dla niego, jak on był niepojęty dla mnie.

Droga biegła pod kasztanami i chociaż w dolinie przed sobą widziałem wioskę lub dwie i wiele ustronnych domów zbieraczy kasztanów, odbyłem bardzo samotny, popołudniowy spacer. Wieczór pod drzewami zaczął się wcześniej. Usłyszałem dochodzący z bliska głos kobiety śpiewającej smutną, pradauną, niekończącą się balladę. Odniosłem wrażenie, że piosenka opowiadała o miłości i o *bel amoureux*, przystojnym ukochanym. Żałuję, że nie podjąłem trudu i nie przyłączyłem się do śpiewającej, idąc swoją niewidoczną leśną drogą i przeplatając, jak Pippa w wierszu, moje własne myśli z jej pieśnią⁹³. O czym mogłem zaśpiewać? O niewielu sprawach, a zarazem o wszystkim, czego potrzebuje serce. O tym, jak Fortuna daje i zabiera, przybliża do siebie ukochanych tylko po to, by ponownie rozdzielić ich odległymi i obcymi krainami, o tym, że kochać znaczy nosić wielki amulet, który sprawia, że świat staje się ogrodem, i że ta, „co żyje wszędzie

⁹³ *Pippa Passes* to dramat wierszowany Roberta Browninga (1841). Śpiew Pippy wpływa na dobroć tych, którzy ją słyszą.

– Nadzieja!”⁹⁴, jest silniejsza od nieszczęść i drżącą ręką sięga poza grób i śmierć. O, jak łatwo powiedzieć i dzięki Bogu, jak łatwo w to uwierzyć!

W końcu zeszedliśmy na szeroką, białą, główną drogę pokrytą bezszelestnym pyłem. Nadeszła noc; księżyc od dłuższego czasu mienił się na przeciwległej górze; wchodząc w zakręt, wtargnęliśmy wprost w jego enklawę. We Florac pozbyłem się swojej brandy, ponieważ już nie mogłem znieść jej smaku i zastąpiłem ją mocnym, pachnącym winem Volnay⁹⁵; teraz pilem w drodze do świętego majestatu srebrnego globu. Pociągnąłem raptem kilka łyków: moje nogi zrobiły się lekkie, a krew pulsowała mi od luksusu. Nawet Modestyna, zainspirowana oczyszczonym nocnym słońcem, ożywiła swoje małe kopyta. Droga wiła się i szybko opadała pod stosami kasztanów. Gorący pył unosił się spod naszych nóg i odpływał ku górom. Nasze cienie – mój wykrzywiony plecakiem, jej śpiworem – kładły się przed nami w wyraźnej ramie, a teraz, gdy wchodziliśmy w zakręt, uniosły się w widmowym tańcu i popłynęły wzdłuż góry jak obłoki. Od czasu do czasu w dolinie szeleścił ciepły zefir, sprawiając, że kasztany trzęsły liśćmi i owocami; uszy wypełniała szeptana muzyka, a cienie tańczyły harmonijnie. Nagle wiatr ustąpił i cała dolina, z wyjątkiem naszych wędrujących stóp, zastygła. Na przeciwległym zboczu, masywy i wąwozy górskie ledwie wyróżniały się w blasku księżyca, zaś wysoko nad głową w jednym z okien

⁹⁴ *Raj utracony* Johna Milтона, księga I: „Gdzie odpoczynek nigdy nie zamieszka/ Ani przebywa ta, co żyje wszędzie – Nadzieja!” Tłum. Antoni Lange.

⁹⁵ Czerwone wino burgundzkie produkowane w Volnay, w departamencie Côte-d’Or.

samotnej chaty paliło się światło, jedna kwadrato-
wa iskra czerwieni na przepastnym polu tęsknych,
nocnych tonacji.

W pewnym momencie, kiedy schodząc wpa-
dałem w wiele ostrych zakrętów, księżyc zupełnie
zniknął za wzgórzem i dalej sunąłem już w kosmicz-
nej ciemności, aż kolejny zakręt wyrzucił mnie bez
ostrzeżenia w Saint Germain de Calberte – śpiącej,
głuchej osadzie, pogrążonej w matowym mroku.
Odrobina ciepła latarni uciekła na drogę z otwar-
tych drzwi, by pokazać mi, że znalazłem się wśród
ludzkich siedzib. Dwie ostatnie, nocne gaduły,
wciąż dyskutujące przy ścianie ogrodu, skierowały
mnie ku oberży. Pani domu właśnie kładła pisklęta
do łóżek; ogień już zgasł i trzeba go było na nowo
rozpalić, nie bez narzekania gospodyni; pół godziny
później musiałem udać się na grzędę bez kolacji.

VII. Ostatni dzień

Kiedy się obudziłem (czwartek, 2 października) i do okna, w czystej, wygodnej izbie, odprowadziły mnie fanfary kogutów i chichot zadowolonych kur, spojrzałem przed siebie na jasny poranek w głębokiej dolinie kasztanowych sadów. Było jeszcze wcześnie, lecz pianie koguta, skośne promienie słońca i długie cienie zapraszały do wyjścia na podwórze i rozejrzenia się wokół.

Saint Germain de Calberte to spora parafia rozciągająca się na dziewięć mil. W okresie wojen i tuż przed powojennym wyludnieniem zamieszkiwało ją dwieście siedemdziesiąt pięć rodzin, z których dziewięć było katolikami. Objechanie parafii konno podczas spisu ludności, od domostwa do domostwa, zajęło księdzu ledwie siedemnaście wrześniowych dni. Saint Germain de Calberte, chociaż to stolica kantonu, jest niewiele większe od wsi. Roztacza się tarasami na stromym zboczu pośród kolosalnych kasztanów. Kalwińska kaplica stoi na niższym ramieniu zbocza, a pośrodku miasta wznosi się niepowtarzalny, zabytkowy kościół katolicki.

To tutaj biedny Du Chayla, chrześcijański męczennik, prowadził swoją bibliotekę i dwór misjonarzy; tutaj kazał wybudować sobie grobowiec, przekonany, że spocznie na wieki wśród wdzięcznej ludności, którą odwiódł od grzechu; tutaj także, nazajutrz po jego śmierci, przyniesiono zwłoki cierpiénika przeszyte pięćdziesięcioma dwoma ranami. Ubrano je w kapłańskie szaty i wystawiono w kościele na widok publiczny. Proboszcz czytał z drugiej Księgi Samuela, dwudziestego rozdziału

i dwunastego wersetu: „Amaza walał się we krwi swej w pośród drogi”⁹⁶, wygłosił porywające kazanie i niczym pogrążony w nieszczęściu, znamienity wódz, wezwał swych braci, by umierali w boju. W połowie jego przemowy do zgromadzonych dotarła wieść, że nadciąga Duch Séguier – tłum natychmiast rzucił się do koni, jedni pognali na wschód, inni na zachód, a sam proboszcz aż do Alais.

Przedziwna była sytuacja Saint Germain de Calberte, małej katolickiej metropolii, napaństwa Rzymu, w tak niepokornej i wrogiej okolicy. Z jednej strony obserwował to miejsce legion Salomona stacjonujący w Cassagnas, z drugiej strony katolicy z Saint Germain de Calberte zostali odcięci przez grupę Rolanda obozującą pod Mialet. Proboszcz Louvrenil⁹⁷, chociaż na pogrzebie arcykapłana wpadł w panikę i w popłochu uciekał do Alais, mocno trwał przy swojej samotnej ambonie i ciskał z niej gromy przeciwko zbrodniom hugenotów. Salomon oblegał wioskę przez półtorej godziny, ale został skutecznie odparty. W najciemniejszych godzinach wśród milicjantów stojących na straży przed drzwiami proboszcza rozlegał się śpiew psalmów i przyjacielskie rozmowy z powstańcami. A rano, chociaż nie padł ani jeden strzał, w kolbach strażników nie zostało ani ziarno prochu. Co się z nim stało? Strażnicy oddali je kamizardom. Zdradliwi obrońcy opuszczonego kapłana!

Wyobraźnia z trudem pojmuje, że wspomniane zamieszki toczyły się właśnie w Saint Germain de Calberte; w tej górskiej wiosce panuje teraz abso-

⁹⁶ 2 Księga Samuela 20:12. Biblia Brzeska.

⁹⁷ Katolicki ksiądz i proboszcz z Saint-Germain-de-Calberte.

lutna cisza, puls ludzkiego życia uderza miarowo i spokojnie. Chłopcy, niczym nieśmiali łowcy lwów, podążali kilkadziesiąt kroków za mną; chłopcy odwracali się, by odprowadzić mnie wzrokiem lub, gdy przechodziłem przez osadę, wychodzili na progi swoich domostw. Niewykluczone, że moje przejście zapisało się jako pierwsze znaczące wydarzenie, jakie miało tu miejsce od czasu kamizardów. W patrzeniu chłopów nie wyczułem nic niegrzecznego ani napastliwego; to była uradowana, ciekawska obserwacja, podobna do przypatrywania się wołu czy niemowlęciu. Co nie zmienia faktu, że zmęczyła mnie psychicznie i wkrótce przepędziła z ulicy.

Schroniłem się na tarasach pokrytych trawiaścą wykładziną i usiłowałem naszkicować ołówkiem nieszablonowe kształty drzew kasztanowych unoszących baldachim z liści. Od czasu do czasu skradał się delikatny wiatr i kasztany opadały wokół mnie z lekkim, głuchym dźwiękiem. Przypominał skąpe opady wielkiego gradu, a towarzyszyła mu pogodna świadomość zbliżających się żniw i myśl o rolnikach cieszących się ze swoich zbiorów. Spojrzałem w górę i zobaczyłem brązowy kasztan zaglądający przez zieleniącą się łuskę; oko ukryte między łodygami obejmowało wzrokiem amfiteatr wzgórza, oświetlony słońcem i szmaragdowy od listowa.

Rzadko tak bardzo cieszyłem się jakimś miejscem. Poruszałem się w atmosferze kompletnej błogości, czułem się lekki, wyciszony, zaspokojony. A może tym, co przyniosło ulgę mojemu sercu, wcale nie był fragment krajobrazu? Czy ktoś myślał o mnie w innym kraju albo jakaś moja własna myśl przyszła i odeszła niezauważona, wprawiając mnie w anielski nastrój? Pewne myśli, które bez

wątpienia upiększyłyby nasze życie, znikają, zanim zdołamy prawidłowo rozpoznać ich zawartość; jak gdyby Dobry Pasterz, przechadzający się zielonymi ścieżkami, wstąpił do nas w odwiedziny, rozejrzał się z uśmiechem po naszym domu i znowu ruszył na zawsze w drogę. Czy to Apollo, Merkury, czy może Miłość ze złożonymi skrzydłami? Trudno powiedzieć. Pewne jest tylko to, że potem lżej kontynuujemy nasze sprawy i czujemy spokój i ulgę.

Zjadłem obiad z dwójką katolików. Jednym głosem potępiali młodego mężczyznę, katolika, który poślubił hugenotkę i przeszedł na religię swojej żony. Nie, nie mieli problemu ze zrozumieniem i szacunkiem dla urodzonego protestanta (w czym przypominali starą katoliczkę, która tego samego dnia tłumaczyła mi, że nie istnieje różnica między protestantami a katolikami, za jednym wyjątkiem – że „zło bardziej przeraża tego drugiego”, właściciela większej ilości boskiego światła i przewodnictwa), ale porzucenie raz przyjętego wyznania napełniało ich pogardą.

„Niedobrze, jeśli człowiek zmienia wiarę” – obwieścił jeden z nich.

Oczywiście, to mógł być przypadek, ale nie da się ukryć, że zacytowana sentencja ani na chwilę mnie nie opuszczała; uważam, że streszcza się w nim cała filozofia seweńskich stron. Trudno byłoby znaleźć jej trafniejszy wyraz. Rzecz nie dotyczy wyłącznie utraty pewności siebie, jaka towarzyszy zmianie wyznania i odejściu od dotychczasowej rodziny z racji na Pana Boga; istnieje szansa, nie, nawet nadzieja, że podczas wielkiej przemiany dokonującej się w oczach bliźnich, konwertyta nie zmienił się ani trochę w oczach Boga. Szacunek dla tych, którzy

nie boją się zmian, bo rana, jaką przynoszą, jest bolesna. Z drugiej strony ta rana wskazuje na coś żałosnego, tkwiącego w sile bądź słabości i proroka i głupca, którzy zaprzatają sobie głowy tak nieskończenie nieistotnymi sprawami, zgodnymi przecież ze zmienną naturą ludzką i zdolni są porzucić przyjaźń z powodu wątpliwych kalkulacji duchowych. Ja sam nie zostawiłbym jednej wiary dla drugiej, zamieniwszy jedynie pewne słowa na inne, ale w odważnej lekturze przyjąłbym w duchu i w prawdzie to, co nowe i nazwał złem to, co złe według mnie i według najlepszych z religii.

W okolicy grasowała filoksera⁹⁸; zamiast wina do kolacji piliśmy bardziej ekonomiczny sok winogronowy nazywany Paryżanką. Przygotowuje się go, wkładając całe owoce do beczki z wodą; grona fermentują i pękają jedno po drugim; to, co pijesz w ciągu dnia, w nocy powstaje na wodzie. Jedna beczka Paryżanki – wiele dzbanów wody ze studni i kilogramów eksplodujących, wydających swoją siłę kiści – może starczyć rodzinie aż do wiosny. Czytelnik słusznie przypuszcza, że jest to trunek słaby, ale niezwykle wykwintny w smaku.

Już dawno wybiła trzecia, gdy po obiedzie i kawie opuściłem Saint Germain de Calberte. Minąłem Gardon le Mialet, wielki, błyszczący, wysychający kanał rzeczny oraz Saint Etienne de Vallée Française, inaczej nazywany Val Francesque, a pod wieczór zacząłem wspinać się na wzgórze Świętego Piotra. Miało długie i strome podejście. Pusty powóz wracający do Saint Jean du Gard jechał po moich śladach, po czym wyprzedził mnie blisko szczytu. Woźnica,

⁹⁸ Groźny szkodnik winorośli.

podobnie jak reszta górali, był pewien, że jestem handlarzem, lecz w przeciwieństwie do innych od razu odgadł, co mam do sprzedania. Zauważył wełnę, zwisającą z obu końców mojego śpiwora i na tej podstawie wywnioskował, a ja za żadne skarby nie potrafiłem zmienić jego zdania, że handlowałem kołnierzami z niebieskiej wełny, takimi, jakimi ozdabia się szyje francuskich koni pociągowych.

Śpieszyłem się tak bardzo, jak pozwalała mi na to Modestyna, gdyż chciałem zobaczyć widok po drugiej stronie góry jeszcze przed końcem dnia, ale kiedy zdobywałem szczyt, zapadła noc; księżyc unosił się wysoko i jasno i zaledwie kilka szarych smug brzasku ociągało się na zachodzie. Zionąca, pogrążona w czerni dolina, leżała u moich stóp jak wyrwa w krajobrazie, a zarys wzgórz ostro odcinał się na tle nieba. Przede mną wznosiła się Góra Aigoal, twierdza Castaneta. Castanet zasługuje na wyróżnienie wśród słynnych kamizardów, nie tylko jako energiczny lider powstania. Laur na jego głowie zdobiał gałązki róży – to znak, że miłość znajdzie drogę nawet tam, gdzie rozgrywa się publiczna tragedia. W samym centrum wojennej pożogi, w swojej górskiej cytadeli Castanet ożenił się z młodą i śliczną dziewczyną imieniem Mariette. Panowała wielka radość, a na znak miłosnego święta oblubieniec uwolnił dwudziestu pięciu więźniów. Siedem miesięcy później Mariette, Księżniczka Sewennów, jak kpiąco nazywali ją wrogowie, wpadła w ręce władz i brutalnie się z nią obchodzono. Ale Castanet był człowiekiem czynu i kochał swoją żonę ponad życie. Napadł na Valleraugue i wziął jakąś kobietę za zakładnika, po czym pierwszy i ostatni raz w trakcie wojny nastąpiła wymiana jeńców. Potomkowie córki Castaneta i Mariette, splodzonej

pewnej gwiaździstej nocy na Górze Aigoal, do dzisiaj mieszkają w Sewennach.

Modestyna i ja zjedliśmy przekąskę na szczycie Świętego Piotra. Ja siedziałem na stercie kamieni, ona stała obok w księżycowym świetle i grzecznie wyjadała mi chleb z dłoni. To był nasza ostatnia wspólna strawa. Ponieważ biedna bestyjka darzyła mnie uczuciem (które wkrótce musiałem zdradzić), jadła mi z ręki z większym apetytem.

Mieliśmy przed sobą długie zejście do Saint Jean du Gard i po drodze nie spotkaliśmy nikogo poza furmanem, którego już z daleka zobaczyłem w blasku księżyca odbijającym się w jego zgaszonej latarni.

Przed dziesiątą zawitaliśmy do oberży, wprost na kolację. Piętnaście mil i surowe wzgórze pokonane w niewiele ponad sześć godzin!

VIII. Żegnaj, Modestyno!

Rankiem 3 października, podczas przeglądu lekarskiego, Modestyna okazała się niezdolna do dalszej podróży. Zdaniem stajennego potrzebowała przynajmniej dwóch dni odpoczynku, tymczasem mnie zależało, aby jak najszybciej odebrać w Alais korespondencję. Ponieważ gościliśmy w cywilizowanej krainie dyliżansów, postanowiłem sprzedać swoją przyjaciółkę i jeszcze tego samego popołudnia ruszyć dalej. Wczorajszy marsz, dzięki świadectwu woźnicy, podążającego za nami w górę długiego wzgórza Świętego Piotra, rozpowszechnił pozytywne zdanie o możliwościach Modestyny. Potencjalni nabywcy wydawali się świadomi niepowtarzalnej szansy. Przed dziesiątą otrzymałem ofertę dwudziestu pięciu franków, a przed południem, po zacieklej bitwie, sprzedałem Modestynę razem z siodłem za pięćdziesiątkę⁹⁹. Można się spierać nad wartością zysku pieniężnego – ważne, że kupiłem sobie wolność.

Saint Jean du Gard to duża miejscowość, w większości hugenocka. Mer, protestant, poprosił mnie o przysługę w drobnej sprawie, charakterystycznej dla tego regionu. Wiele młodych kobiet z Sewennów wyjeżdża do Anglii w roli guwernantek, czerpiąc korzyści ze wspólnej religii i odmienności języka; jedna z mieszanek Mialet zmagająca się z listami polecającymi po angielsku dla dwóch różnych

⁹⁹ Modestine została kupiona przez Eugène Dumasa, który używał jej do ciągnięcia wozu. Po śmierci Dumasa została zakupiona przez M. Volpelière' a z St-Jean-du-Gard, po czym znikła z kart historii.

londyńskich agencji. Pomogłem jej, jak tylko umiałem i zaofiarowałem kilka rad, które wydawały mi się doskonałe.

Chciałbym jeszcze podzielić się swoją ostatnią obserwacją. Filoksera spustoszyła winnice i wczesnym rankiem pod kasztanami nad rzeką natknąłem się na grupę mężczyzn pracujących przy tłoczni cydru. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co robili, więc poprosiłem jednego z nich o wyjaśnienie.

„Robimy cydr. „Oui, c’est comme ça. Comme dans le nord!”¹⁰⁰

W jego głosie brzmiała nuta sarkazmu: kraj schodził na psy.

Dopiero gdy rozsiadłem się przy woźnicy i terkotaliśmy kamienistą doliną drzewek oliwnych, zdałem sobie sprawę z mojego smutku. Straciłem Modestynę. Aż do tego momentu sądziłem, że jej nie znoszę, teraz ogromnie mi jej brakowało.

„I to, och
zmienia dla mnie wszystko!”¹⁰¹

Przez dwanaście dni byliśmy bliskimi kompanami. Wspólnie szliśmy pod górę przez ponad sto dwadzieścia mil, zdobyliśmy kilka imponujących grani i maszerowaliśmy przed siebie po wielu kamienistych i podmokłych drogach. Od pierwszego dnia, chociaż czasami czułem się obolały i zagubiony, zachowywałem cierpliwość. A co do niej, biedna duszyczka zaczęła uważać mnie za boga! Uwielbiała

¹⁰⁰ Z franc. „Tak, nie przesłyszałeś się. Jak na północy”. Cydr był bardziej powszechny na północy, a wino na południu.

¹⁰¹ *Ballada* Williama Wordswortha. Tłum. własne.

jeść z mojej dłoni. Była niezłomna, niepowtarzalnie mała i elegancka w kształcie, w kolorze idealnej myszy. Jej wady wynikały z gatunku i płci, ale jej cnoty należały wyłącznie do niej. Żegnaj. O! Jeśli ustawne modlenia —¹⁰²

Ojciec Adam płakał, kiedy sprzedawał mi Modestynę. Gdy niedługo potem to ja oddawałem ją w cudze ręce, kuśilo mnie, by pójść za jego przykładem. W końcu, zostawszy sam z woźnicą i czterema lub pięcioma sympatycznymi młodymi ludźmi, nie umiałem już powstrzymać emocji.

KONIEC

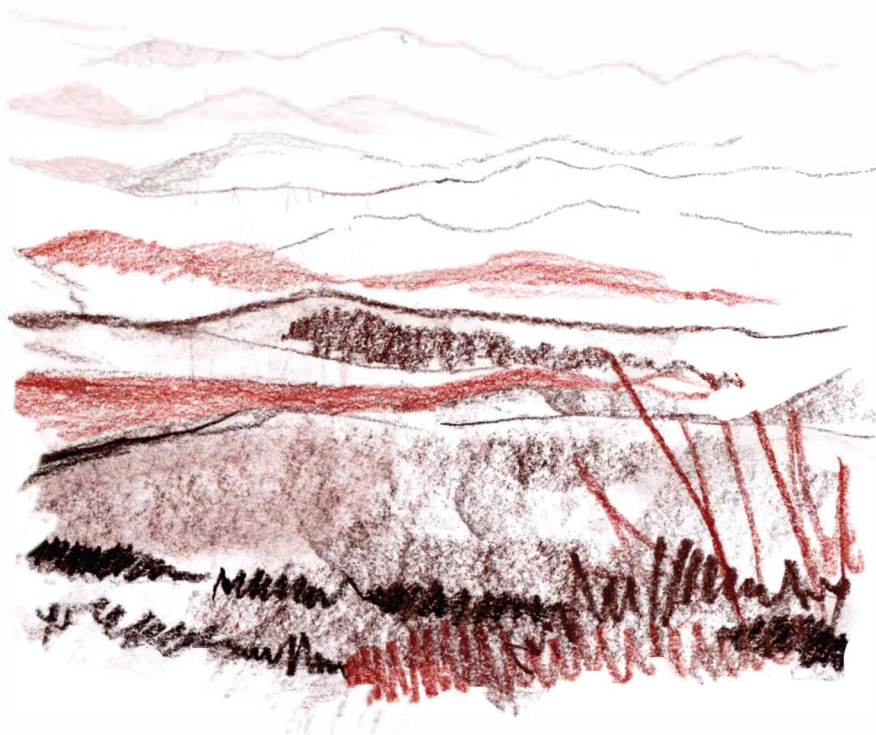
¹⁰² *Żegnaj* George'a Gordona Byrona. Tłum. Cyprian Kamil Norwid.

Do kolorowego śpiwora własnego projektu zabrał kilka
lekarstw na złamane serce:

butelkę beaujolais, czekoladę oraz książki.

W podgórskim miasteczku Le Monastier kupił drobną
oślicę w kolorze myszy, którą nazwał Modestyna i w jej
towarzystwie wyruszył w Sewenny.

"Podróże z osłem przez góry Sewenny", uznawane za małe
arcydzieło dziewiętnastowiecznego reportażu,
to zawadiacki hymn ku czci oddalenia, artystycznej
wolności, piękna natury i pogody ducha.



ISBN 978-83-68006-79-7

DOI 10.48226/978-83-68006-79-7